WTOREK Nr 94 11 VIII 1981 Cena 2 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Czym skorupka za młodu...

...czyli prędzej czy później przyda się umiejętność prowadzenia traktora. Na razie to trochę zabawy i wiele, wiele przyjemności, choć podwórko, na którym odbywają się pierwsze jazdy liczy nie więcej, jak kilkanaście metrów.

Przy okazji przypominamy raz jeszcze nasz apel: nie przechodźcie obojętnie obok pracujących rolników! Ich praca składa się także z tysięcy drobnych, pozornie nieważnych czynności – coś trzeba podnieść, podać, zawiązać, kogoś zawiadomić. Nie jesteście kombajnistami i nie zastąpicie dorosłych przy pracach skomplikowanych – ale możecie im pomóc właśnie przy drobiazgach. Bardzo Was do tego namawiamy.

Fot. W. Wróblewski

Uwaga, sympatycy krajowych ssaków

KTO WIDYWAŁ WYDRĘ NAD WISŁĄ?

– oto pierwsze pytanie do młodych teriologów

(Inf. wł.). Jak dotąd – nie brak w kraju miłośników ptaków, a także owadów. Jest ich nawet coraz więcej, a zrzeszają się w odpowiednich sekcjach Polskiego Towarzystwa Zoologicznego, w Polskim Towarzystwie Entomologicznym, czy Studenckich Kołach Naukowych. Miłośników i obserwatorów życia ssaków było natomiast mniej, a prowadzili swe obserwacje w pojedynkę, stąd ich wyniki często przechodziły bez echa. A szkoda, bo o występowaniu, liczebności, trybie życia wielu dzikich krajowych ssaków – zwłaszcza tych rzadkich, jak wilk, ryś i żbik, wydra, ale nie tylko o nich – mamy wciąż zbyt skromne wiadomości. Jest jednak szansa, że to się zmieni, a zainteresowani życiem tych zwierząt będą mogli łatwiej się kontaktować i wspólnie wyprawiać na swe „bezkrwawe łowy".

Oto z inicjatywy Jerzego Romanowskiego, absolwenta Wydziału Biologii UW i współpracownika naszego pisma, powstało Koło Sekcji Teriologicznej przy Polskim Tow. Zoologicznym. Ma swą siedzibę w Warszawie, a zrzesza głównie młodych teriologów, nawet 16-latków, pasjonujących się życiem ssaków. Celem koła jest – jak usłyszeliśmy od J. Romanowskiego prowadzenie przede wszystkim badań terenowych i ekologicznych. Zorganizowano już pierwsze wyprawy, a ich celem było tropienie rzadkiego już u nas ssaka – wydry.

Okazało się, że występuje ona nawet pod Warszawą, nad Wisłą koło elektrociepłowni Siekierki, a więc w rejonie, gdzie wody są mocno zanieczyszczone. Znaleziono szereg śladów ssaka, członkowie koła dostali też list od pewnego wędkarza, który tu wydrę widywał. Za naszym pośrednictwem apelują też do wszystkich, którzy wydrę obserwowali, o nadsyłanie informacji. W tej chwili młodzi teriolodzy starają się dociec, czy ssak ten żyje tu stale i czy się rozmnaża – poszukują więc pilnie śladów młodych wydr. Ta traperska robota ruszy pełną parą z końcem lata.

Członkowie koła zajęli się też badaniem ssaków Warszawy – w tym populacji zdziczałych kotów. Chodzi o zbadanie, jaką rolę spełniają one wśród innych żyjących tu zwierząt – np. drobnych ptaków – jako drapieżniki.

Koło – choć jest częścią prowadzącego poważne badania naukowe Polskiego Towarzystwa Zoologicznego (PTZool) – przyjmuje wszystkich chętnych, także młodych amatorów i zaprasza do współpracy. Zgłoszenia oraz informacje o ssakach można przesyłać na adres: Koło Warszawskie Sekcji Teriologicznej PTZool, Uniwersytet Warszawski, Krakowskie Przedmieście 26/28, Wydział Biologii, a także do redakcji „Świata Młodych". Otrzymane listy przekażemy! **(tok)**

PRZEJAŻDŻKI PEGAZEM

UJEŻDŻALNIA IM. SOTERA ROZMIAR ROZBICKIEGO

W ŚWIECIE TRZEBA UMIEĆ ŻYĆ –A NIE JAK PAJĄK SIĘ KRYĆ

„Zaproponowali przejażdżkę Pegazem,
ale Pegaz jest tylko jeden w Warszawie!
Wsiadłam więc w autobus i na Mokotowską
jadę sobie gwiżdżąc melodyjkę swojską.
Myślę, jak ich wszystkich w redakcji powitać?
– jakoś się ukłonię, przedstawię i kwita!
A potem pojeżdżę sobie na Pegazie
i z Julkiem pogadam, i z Rzepem pogwarzę..."

Wierszykiem **Danki z Jarocina** zapraszam Was dzisiaj na str. 5 do mej wesołej ujeżdżalni!

Julek

XI Wakacyjny Turniej Piłkarski „Świata Młodych"

WYSYŁAMY WYKAZY!

I tak nasz turniej powoli dobiega końca. Za sobą mamy eliminacyjne mecze, które rozgrywaliśmy podczas tegorocznych wakacji. Teraz należy zrobić jeszcze jedno, a mianowicie wysłać wykazy odbytych spotkań na adres redakcji „Świata Młodych" (z dopiskiem na kopercie Turniej i z podaniem dokładnego adresu kapitana lub opiekuna zespołu).

Termin wysyłania wykazów upływa z dniem 13 sierpnia br. (o ważności wysyłki decyduje data stempla pocztowego). Wykazy wezmą udział w losowaniu, na podstawie którego wyłonimy czterech finalistów krajowych. Każda drużyna ma więc szansę awansować do dalszych rozgrywek, a nawet do finału międzynarodowego. Nie przegapcie okazji! Natychmiast wyślijcie wykaz. Finał krajowy (o czym oddzielnie powiadomimy zespoły, do których uśmiechnęło się szczęście w losowaniu) odbędzie się w Śliwicach, województwo bydgoskie. Termin: 22–23 sierpnia bieżącego roku. **(zp)**

W pierwszych słowach mego listu...

...pozdrawiam babcię, ciocię i wujka. Nad morzem jest fajnie, psy chodzą tu w marynarskich koszulkach, a marynarze nie, sam nie wiem dlaczego. Jechałem na kucyku, ale potem mama powiedziała, żebym szybko schodził, bo pieniędzy musi nam starczyć do końca miesiąca. Myślę, że starczy, tu nie ma ich na co wydawać. Jak wrócę to muszę się zaraz dobrze wykąpać, w tej wodzie, co jest wszędzie za brzegiem pływać nie wolno. Maniuś pływał i od wczoraj ma gorączkę. Dobrze że za rok jedziemy w góry. Franio. ... **(mz)**

Fot. J. Łopuszyński

W SAMO POŁUDNIE

Była środa, ósmy dzień lipca. Samo południe, bo z jakiegoś radioodbiornika dobiegał akurat dźwięk Mariackiego Hejnału. Słońce niby to się za chmurami od czasu do czasu chowało, ale było gorąco. Bardzo gorąco, rozleniwiająco wręcz. Na ławce, jakie ukryte są pod wiatami-przystankami autobusowymi wzdłuż warszawskiej Trasy Łazienkowskiej, siedziały (w leniwej właśnie pozycji) dwie nastolatki. Miały po jakieś 13–15 lat. Obie były bardzo ładne, bardzo zgrabne, obie miały na sobie niebanalne, przyciągające oko ciuchy. Miały też koszyk, jeden na dwie. Całkiem zwyczajny, wiklinowy. Koszyk stał na ławce pomiędzy nimi, a one zanurzały w nim miarowo ręce. Ta, co siedziała z prawej strony koszyk– – lewą, ta, co z lewej – prawą. Bynajmniej nie bez celu tam sięgały, w koszyku były czereśnie. Dorodne, apetyczne, bardzo soczyste. Dziewczynom musiało się chcieć pić (w taki upał!), bo pochłaniały je w zdecydowanie szybkim raczej tempie. I w takim samym tempie wypluwały z ust pestki. Przed siebie. Plucie pestek wychodziło im niezmiernie sprawnie – żadna nie upadła na kolana czy na but, furkotały w powietrzu i sięgały chodnika dopiero co najmniej 2–3 metry od ławki. Dziewczyny chyba długo czekały na autobus, bo cały chodnik dookoła wiaty był już gęsto usiany kropkami-pestkami, kiedy do przystanku podszedł jakiś pan, który rozejrzawszy się dookoła zapytał: „Dlaczego panie tak śmiecą?". Panie nie odpowiedziały. Nie drgnęły nawet, pluły dalej. Więc pan się odsunął trochę na bok, bo wiadomo, że plamy z czereśni trudno z ubrania usunąć. Potem schodzili się na przystanku inni ludzie i niektórzy też coś do dziewczyn mówili – właśnie to, że śmiecą, że ktoś się może przecież na takiej pestce pośliznąć, że to nieelegancko tak się zachowywać... Ale dziewczyny konsekwentnie nic nikomu nie odpowiadały i dalej jadły i pluły, jadły i pluły, jadły i pluły... Aż wreszcie przyjechał autobus i wszyscy do niego wsiedli. **(ek)**

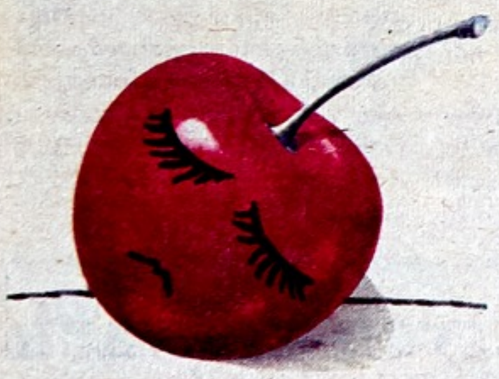

KĄCIK PRZYJACIÓŁ

ZESPOŁY MUZYCZNE I SOLIŚCI – TO HASŁO dzisiejszego kącika. Każdy, kto chce nawiązać korespondencję z koleżankami i kolegami interesującymi się muzyką współczesną, niech szybko skorzysta z okazji:

Krystyna Warych, – zbiera informacje o Annie Jantar

Barbara Butkiewicz – interesuje się zespołem Bee Gees

Lucyna Kołodziejczyk, zbiera wiadomości na temat zespołu „Abba".

Informacje dotyczące Elvisa Presleya zbierają: **Magda Kornacka**

Marzena Sarnecka,

Wiadomości na temat zespołu The Beatles zbierają: **Jolanta Grzybek**

Iwona Czajka

Dariusz Buklis,

WAKACYJNE ŚCIEŻKI

Nie byłem sam

Moje wakacje nie należą do zbyt ciekawych. Tak jak przed rokiem zapisałem się na półkolonie. Jednak warunki były dużo gorsze. Jedzenie, szczególnie na końcu nie było zbyt dobre. Podwieczorek dostaliśmy tylko trzy razy. Nauczycielki tłumaczyły to obecną sytuacją w Polsce, co jest w pełni zrozumiałe. Ale nie rozumiem dlaczego organizacja czasu była kiepska?

Rano, około godziny ósmej był apel poranny, a na nim omówienie spędzenia czasu, odśpiewanie hymnu. Potem śniadanie i oglądanie teleferii. Gdy była ładna pogoda szliśmy na spacer. Natomiast podczas deszczu siedzieliśmy w klasach i układaliśmy ciągle te same układanki i klocki. Następnie był obiad i szliśmy do domu. Nie było żadnych zawodów sportowych, ciekawszych gier, bardziej sensownych wycieczek. A przecież pomysłów nie powinno brakować (choćby korzystanie z wakacyjnych materiałów „Świata Młodych").

I jeszcze jedna negatywna strona. Na półkolonie zapisywane są dzieci od lat pięciu. Najstarsi uczestnicy mają lat kilkanaście. Grupy są tak dobierane, aby była duża rozbieżność wieku. Jest to bardzo złe. Maluchy przecież nie mogą znaleźć wspólnego języka z nastolatkami. Wspólna zabawa staje się nudna, dochodzi nawet do konfliktów. Takie były te półkolonie. Ale mimo to jestem zadowolony. Nie ze spędzenia czasu, ale z tego, że nie byłem sam. W miejscu mojego zamieszkania, nie mam zbyt wielu kolegów.

Druga część moich wakacji nie zapowiada się lepiej. Nie wyjeżdżam nigdzie i chyba tak będzie do końca.

„Smok"
Końskie

Najpierw poznaj własny kraj

Uff! wakacje! Więcej czasu dla siebie i na łażenie swoimi ścieżkami. Chociaż przeze mnie wakacje te nie będą zbyt mile wspominane, a to dlatego, że miałem jechać na obóz harcerski do Francji. Właśnie w tym problem, że miałem, ale nie jadę. Po prostu Organizacja Pionierów Francuskich odmówiła przyjęcia nas ze względu na niewyklarowaną sytuację polityczną. Ach, jak sobie przypomnę, ile było radości i starań! No, ale cóż, było – minęło, nie ma, tak przynajmniej pociesza mnie mój tata, a rekompensatą tych strat moralnych będzie zwiedzanie Fromborka, Olsztyna i pobyt na Mazurach. I znowu rozpoczynają się starania; tym razem o przerejestrowanie kartek żywnościowych... Martwię się, żeby ten wyjazd się udał. Myślę nawet, że dobrze się stało, że nie jadę do Francji (chociaż to moje myślenie może wydawać się dziwne), bo czy nie lepiej najpierw dobrze poznać piękno własnego kraju, a potem zabierać się za granicę...?

Artur

Bąków to ja nie zbijam...

Moje wakacje na wsi upływają, jak niemal zawsze, pod znakiem dosyć ciężkiej pracy i... nudy. Bo taka już nasza – tj. wiejskich nastolatków dola, że kiedy na dzień lub dwa zaświeci słońce, to musimy (a jeśli nie musimy, to chcemy, bo „głupio" by nam było, gdybyśmy „zbijali bąki", gdy rodzice ciężko pracują) pomagać w pracach polowych. I to kilka, a czasem nawet kilkanaście godzin dziennie. Kiedy pada deszcz, mamy trochę wolnego czasu, ale i tak nie bardzo wiemy, co z nim uczynić. No bo i cóż można robić w małej wsi, w niepogodę? Książki, telewizja i sporadyczne spotkania przecież wystarczająco czasu nie wypełnią. Nie brakowałoby rozrywek w dni pogodne, ale niestety, jak już pisałem, nic nam po nich.

Gwoli sprawiedliwości muszę jednak powiedzieć, że praca w polu daje sporo satysfakcji spowodowanej głównie uczuciem tego, że przyczyniło się do uzyskania pieniędzy z zebranych plonów, czy pomogło ciężko spracowanym rodzicom. Po dniu przepełnionym pracą fizyczną można naprawdę odczuć, co to jest odpoczynek... Oczy same „kleją się" a mięśnie nie mają najmniejszej ochoty ruszyć się z raz zajętego miejsca...

Największą dla mnie bolączką dotyczącą wakacji wiejskich jest to, że dzieci i młodzież ze wsi mają znikome szanse na dłuższy wyjazd zorganizowany, np. na kolonię czy obóz. W miastach i PGR wyjazdy organizują zakłady pracy, a na wsi nie ma kto się tym zająć. Osobiście jestem w szczęśliwej sytuacji, bo przypadkiem zostałem członkiem jednego z kół zainteresowań przy domu kultury. Ale czy tak powinna wyglądać sprawa wyjazdu wiejskich nastolatków na kolonie? Przecież przez większą część wakacji pracujemy więc i nam należą się chociaż trzy tygodnie prawdziwego odpoczynku.

Mirek Soliwoda

Kartki z dziennika praktyk

29 czerwca – Rozpoczynam pierwszy dzień wakacyjnej praktyki (jestem uczniem szkoły rolniczej) w PGR Gorajowice. Kierownik przyrzekł nam 14 złotych za godzinę. Pierwszy raz spotkał mnie więc zaszczyt, aby praktykantowi płacono i to aż 14 złotych na godzinę. Najczęściej było to kilkadziesiąt groszy, które otrzymywała szkoła. Wierzę, że nie okażę się naiwnym, kiedy zaufam tym obietnicom. Praca (zbiór porzeczek) okazała się więc zarobkiem, a nie praktyką czyli nauką zawodu. Najważniejsze to „zebrać porzeczki zanim opadną", jak to określił któryś z kierowników. Musimy więc dobrze zakasać rękawy, aby nie posądzono nas o zły stosunek do pracy.

1 lipca – dalej obrywam porzeczki, a czas nagli, bo istnieje groźba opadnięcia czarnej porzeczki. Ale mało kto kwapi się pracować w PGR, bo niezbyt chlubna tradycja wcale nie przyciąga. Przy porzeczkach bardzo wygodnie rozmawia się o polityce, o problemach współczesności. Po pracy czuję się okropnie zmęczony uporczywym upałem i drogą, którą muszę pokonywać idąc pod górę na plantację. Po przyjeździe do domu nie zastaję nikogo, wszyscy pracują w polu. Mam jeszcze i ja trochę pracy do wykonania zanim odpocznę. Naprędce coś tam przegryzam i piorę. Przygotowuję też dla taty wodę na herbatę, bo jak zawsze przyjdzie zmęczony.

2 lipca. Mogę się przekonać, że odnowa znajduje swoje miejsce w PGR, otrzymaliśmy harmonogram praktyki, kierownik d/s pracowniczych przyrzekł nam dwa dni na zapoznanie się z organizacją, ekonomiką, specyfiką organizowania prac, bo jak sam to określił, „nie możemy ukończyć praktyki bez posiadania wiedzy o gospodarstwie rolnym". Kierownik zastrzegł, że za ten okres nie będą nam płacić, bo „w PGR Gorajowice płaci się za pracę" (najwyższy czas!).

6, 7, 8 lipca – Poprawialiśmy po tych, którym zachciało się szybko i bez wysiłku dużo porzeczek narwać. W naszej obecnej sytuacji w kraju nie można tego sposobu aprobować...

9 lipca – znowu obrywamy czerwoną porzeczkę, odmianę późną. Już od jutra chcę bliżej poznać gospodarstwo, bo jak dotąd miałem na to mało możliwości i czasu. Pogoda bardzo upalna, choć słońce przeświturje od czasu do czasu przez chmury. Dzisiaj ciekawy „Świat Młodych", bo ogłoszono V Wakacyjny Konkurs Poetycki; być może wezmę udział, bo temat w sam raz dla mnie.

10 lipca – dzisiejsza praktyka mogła być synonimem tej wymarzonej, właściwej. Temat „Organizacja i ekonomika gospodarstw rolniczych". Rozmawiałem z głównym księgowym i porobiłem sobie notatki, dzięki czemu moje spojrzenie na Państwowe Gospodarstwo Rolne bardzo się rozjaśniło, choć z góry mi było wiadomo, że większość PGR „żyje" jeszcze z państwowych dotacji.

11 lipca – nie skorzystałem z obietnicy, jaką nam dawano, tj. z 14 złotych na godzinę, bo cały czas pracowałem przy porzeczkach „na akord", ale jakoś daleko było mi do wprawy, której nie brakowało tym, którzy pracowali li tylko w celach zarobkowych. Byli jednak tacy, którzy pracowali na godziny np. przy obsiekiwaniu buraków, kapusty, i oni będą mogli przy wypłacie przekonać się o słowności kierownika.

STANISŁAW DŁUSK
Członek Ligi Reporterów

Jeszcze pachnie wiejskim chlebem

Tu gdzie mieszkam rośnie dużo lasów, przeważnie sosnowych. Najbardziej malowniczo jest koło Napoleonowa, gdyż znajdują się tam pozostałości dawnej puszczy. Jak każdy zakątek Polski i tutejsze wsie związane są z dziejami naszej Ojczyzny, a szczególnie z historią ostatnich dwóch wojen światowych. Przykładem jest Borowa Góra. Tuż za nią znajduje się cmentarz żołnierzy poległych w 1914 i 1915 r.; w większości byli to żołnierze z armii naszych zaborców, którzy brali udział w tej wojnie.

II wojna światowa także nie ominęła tego miejsca. We wrześniu 1939 roku Borowa Góra stanowiła ważny punkt strategiczny w obronie Piotrkowa Trybunalskiego. Główny atak Niemcy skierowali na opanowanie Piotrkowa i szosy piotrkowskiej wiodącej do Warszawy. Od świtu 4 września 1939 roku niemiecka 4 Dywizja Pancerna rozpoczęła atak na Borową Górę, na której okopał się polski 2 pułk piechoty, 11 Batalion Strzelców i 2 Batalion Czołgów. W czasie zaciętych walk z przeważającymi siłami wroga zginęła większość polskich dowódców i około 1000 żołnierzy. Na stoku wzgórza obok Borowej Góry dla upamiętnienia bohaterstwa poległych w 33 rocznicę pamiętnej bitwy wzniesiono 3 września 1972 roku pomnik.

W czasie ostatniej wojny, w miejscu, gdzie nasze lasy stykają się z lasami wsi Wspólne i Bukowa przebiegała granica Rzeszy i Generalnej Guberni.

Chcę aby wszyscy, którzy tu trafią wiedzieli jak smakuje wiejski chleb pieczony jeszcze w kilku miejscach na wsi. Wiejski chleb, do którego wiedzie tym dłuższa i cięższa droga, że u nas są słabe gleby.

W odległości kilku kilometrów na południe od Borowej Góry powstaje wśród lasów wielka inwestycja – Zagłębie Paliwowo-Energetyczne z Kopalnią Węgla Brunatnego Bełchatów i Elektrownią, z której ma popłynąć prąd jeszcze w tym roku.

Paweł Węgrzyński

REDAKCYJNA POCZTA

Małgorzata nie rozumie młodszych od siebie

Piszę w sprawie listu napisanego przez Małgorzatę, a zatytułowanego „Nie występuję jako ciotka przyzwoitka", ale... Nazywam się Jolanta, mam 16 lat chodzę do Zespołu Szkół nr 2 w Zawierciu. Przypuszczam, iż Małgorzata będzie rozczarowana tym listem, ale też chcę się wypowiedzieć. Nie bronię „Czarnulki" ani też Małgorzaty. Mnie się zdaje, że Małgorzata za daleko się posunęła, używając zwrotu „Małolaty". Jeśli chodzi o „Czarnulkę" to ja jej się wcale nie dziwię, że ma kłopoty z sympatią. Tak, dziewczyna jest młoda, bo ma 13 lat, ale to nie powinno nikogo dziwić, bo „Czarnula" dopiero poznaje życie. Niech Małgorzata tak ostro nie krytykuje, bo ma 18 lat i pewnie mało doświadczenia, a jeżeli nie umie zrozumieć problemów młodszych od siebie koleżanek, to znaczy, że myśli tylko o sobie.

Jolanta z Zawiercia

Prymusi też lubią się bawić

Piszę w sprawie listu Grażyny „W co się bawić i kiedy się bawić" zamieszczonego w 77 numerze „ŚM". Tak samo jak Grażyna pasjonuję się sportem. Uwielbiam także tańce i potańczyłabym sobie z raz, ze dwa w miesiącu, ale niestety nie mam gdzie. W mojej szkole są organizowane dyskoteki – niestety tylko raz lub dwa razy w roku. Dlatego uważam, że pomysł wysunięty przez „Agnieszkę", żeby dyskoteki były częściej organizowane jest świetny, a ton listu Grażyny kojarzy mi się ze zdaniem często wypowiadanym przez starszych: „Ja w twoim wieku"...

Druga sprawa, która mnie bardzo zdziwiła i oburzyła, to zdanie z listu Grażyny: „Nie jestem prymuską, ani ponurakiem, bo sama lubię się bawić (...)" Nie wiem, co autorka tego zdania miała na myśli. Ja zrozumiałam to w ten sposób, że Grażyna uważa, że „prymus" to taki „kujon", który poza nauką nie ma czasu na żadne rozrywki. Nie mam pojęcia, na jakiej podstawie wystawia ona taki sąd. Znam wiele osób, które należą do jednych z najlepszych uczniów i uwielbiają się bawić tak samo zresztą jak ja.

„Karioka"

Oj, te dziewczyny z wakacji...

Jestem na wakacjach w miejscowości, do której przyjeżdżam już po raz trzeci. Rozbiłem namiot i zamieszkałem w nim z kolegą. Rodzice mieszkają w domku. Obok nas „wyrósł" namiot rozbity przez tutejszą dziewczynę w moim wieku i jej koleżankę o rok starszą. Od tego czasu, gdy tylko gdzieś wychodziliśmy (nawet na obiad) po powrocie zastawaliśmy nasz namiot z powyciąganymi „śledziami" i spuszczony z linek. Raz to nawet maszty były złożone. Jak postąpić? Zrobić im to samo – przyniesie to złą opinię mnie i mojemu miastu.

Marek (12 lat)

PS. Jestem z K., a na wakacje przyjechałem do S. Nie pisałbym tego listu nie będąc pewnym, że zrobiły to te dziewczęta. (Pewnego dnia wcześniej wróciłem z obiadu i zacząłem się nie opodal namiotów. Po pewnym czasie zobaczyłem moje „dobre" koleżanki myszkujące koło namiotu. Okazało się, że chciały go zrujnować, na mój widok nie tylko nie przerwały „pracy" lecz dokonały swego z uśmiechem na ustach).

OD REDAKCJI: Pewnie bardzo się podobacie swoim sąsiadkom, a należy się domyślać, że wcale nie zwracacie na nie uwagi. Więc co im pozostało? Kokietują, ponieważ chcą być zauważone... Zapraście je na lody (jeśli w ogóle są w okolicy) lub np. na wspólną przejażdżkę łódką po jeziorze. To na pewno nie przyniesie ujmy ani wam, ani waszemu zacnemu miastu. Dziewczyny będą zadowolone, a może i znajomość okaże się interesująca? (bs)

O KRÓLOWEJ NOCY, CZARNYM BZIE I PAULINKACH

Rozmowa z mgr Elżbietą Strojną i dr Zbigniewem Strojnym – małżeństwem pracującym w Instytucie Sadownictwa i Kwiaciarstwa w Skierniewicach.

„ŚM": – ***Dlaczego kwiaty pachną?***

– Wydzielają one olejki eteryczne, gazy, na które wrażliwe są zmysły ludzi. Nie tylko zresztą ludzi, również m.in. owadów (np. pszczół) i ptaków.

„ŚM": – ***W jaki sposób kwiaty wydzielają zapach?***

– Pochodzi on od olejków lotnych wytwarzanych w komórkach lub tkankach gruczołowych, znajdujących się na płatkach (np. róża), liściach (pierwiosnek, mięta), kłączach (tatarak), korzeniach (chrzan).

„ŚM": – ***Jakie kwiaty pachną najbardziej?***

– Trzeba rozróżniać dwie sprawy: siłę zapachu i jego jakość. Najsilniej pachnie jaśmin, hiacynt, lilia, bez, kosaciec, cytryna domowa. Najpiękniej: róża, kamelia, a także popularna konwalia, maciejka, groszek.

„ŚM": – ***Są też kwiaty, które pachną nieprzyjemnie.***

– Oczywiście, choćby czarny bez; jest on po prostu śmierdzący. Również żeniszek, aksamitka, czosnek, pelargonia pachną niezbyt pięknie.

„ŚM": – ***Od czego uzależniony jest zapach kwiatów, czy mamy na niego wpływ?***

– Bardzo ograniczony. Zapach kwiatu zależy od czynników genetycznych; w gruncie rzeczy wszystko, co możemy zrobić, to zapewnić roślinie jak najwięcej słońca. Oddziaływanie promieni słonecznych zwiększa intensywność zapachów, deszcz ją zmniejsza.

„ŚM": – ***Wydaje się jednak, że po deszczu kwiaty bardziej pachną?***

– Nie, oczyszcza się tylko powietrze, przez co bardziej odczuwamy obecność kwiatów w pobliżu.

„ŚM": – ***Dlaczego wiele popularnych kwiatów z tych kupowanych w kwiaciarni pachnie bardzo słabo bądź wcale?***

– Niewiele można powiedzieć na ten temat. Spośród powszechnie uprawianych roślin ozdobnych często najbardziej plenne odmiany pachną słabo, jak choćby wiele odmian goździków. Hodowcy nowych odmian dopiero od niedawna zwracają większą uwagę na jakość zapachu, głównie w USA, Holandii, Francji. W Stanach Zjednoczonych do dziś zresztą uważa się, że znacznie bardziej opłaca się perfumowanie kwiatów syntetycznymi zapachami niż hodowla nowych, pachnących odmian.

„ŚM": – ***My jednak chcielibyśmy w kwiaciarniach kupować pięknie pachnące kwiaty, a nie bezwonne goździki czy gerbery. Czy zainteresowanie zapachem kwiatu jest dopiero którymś z kolei czynnikiem, na który naukowcy zwracają uwagę i tylko w krajach przodujących w uprawie kwiatów jest to możliwe?***

– Po części tak, największy wpływ odgrywa tu po prostu postęp nauki. Dla ogrodnika nastawiającego się na uprawę kwiatów najważniejsza jest plenność, ilość kwiatów z rośliny, z jednostki powierzchni, a także ich dekoracyjność – wielkość, barwa, kształt. Zapach jest też oczywiście ważny, ale zajmuje dopiero dalsze miejsce w hierarchii wyróżników kwiatów. Często takie cechy kwiatu jak plenność i zapach nie idą w parze, dlatego też nie można się dziwić ogrodnikom, że uprawiają nawet te bezwonne goździki, tym bardziej że w końcu ludzie je chętnie kupują. Większość goździków poza tym pachnie; istnieje np. dość ścisła zależność między barwą a zapachem u goździków szklarniowych. Różowe odmiany mają zapach koniczyny, żółte i pomarańczowe pachną miodem, nie pachną natomiast najczęściej odmiany czerwone. Pięknie pachną goździki gruntowe. Uprawa goździków wymaga stosunkowo mało energii; stanowi ona w Polsce 80 proc. uprawy wszystkich roślin ozdobnych.

„ŚM": – ***Dlaczego kwiaty rosnące dziko – polne, leśne pachną nierzadko piękniej niż te uprawiane pod troskliwą opieką człowieka w ogródkach czy szklarniach?***

– Rośliny rosnące dziko wybierają najbardziej sprzyjające dla siebie środowisko. Żyją w nim przez tysiące lat i drogą ewolucji wykształcają u siebie te cechy, które najbardziej pomogły im przetrwać. Szklarnia natomiast, a nawet ogródek to sztuczne siedlisko roślin, nie zawsze w optymalny sposób zaspokajające wymagania wszystkich znajdujących się tam roślin. Intensywności w zapachu sprzyja na przykład silne nasłonecznienie. Słońca niczym się nie zastąpi. Najintensywniejsza uprawa w szklarniach odbywa się w okresach o złych warunkach świetlnych, a więc jesienią, zimą i wiosną, kiedy mało jest kwiatów rosnących „na dworze". Doświetla się je światłem nie przekraczającym 5 tys. luksów tj. takim, które zapewnia odpowiednią intensywność asymilacji dwutlenku węgla z powietrza, a więc umożliwia prawidłowy wzrost roślin. Dla porównania intensywność światła słonecznego w okresie lata wynosi kilkadziesiąt tysięcy luksów.

„ŚM": – ***Przed kilkoma laty pojawiły się w naszych kwiaciarniach nowe, niespotykane przedtem kwiaty – piękne, ale niestety, nie pachnące.***

– Tak, są one rzeczywiście bardzo piękne. Glorioza, astremeria, strelicja zdobyły sobie stałe miejsce w naszych szklarniach.

„ŚM": – ***Storczyki też nie pachną...***

– Jak to! Są one bardzo ładne, bardzo trwałe i bardzo pachnące. Rzecz jasna, inaczej pachną w tych krajach – południowych, gdzie mają swoje naturalne środowisko. Taka mała ciekawostka, uprawa ich tam należy do najtańszych.

„ŚM": – ***A jaki kwiat według Państwa jest najpiękniejszy, biorąc pod uwagę wszystkie jego cechy z zapachem na czele?***

– Królowa nocy. Gatunek ten pochodzi z Haiti, rośnie jednak i u nas, w szklarniach ciepłych, w powietrzu nasycanym parą wodną. Kłopot tylko w tym, że nie sposób niemal tego kwiatu zobaczyć. Żyje on przecież tylko przez jedną noc. Swoistym paradoksem jest fakt, że ten przepiękny kwiat rodzi bardzo brzydka roślina.

„ŚM": – ***Nasi czytelnicy mają znikome szanse ujrzenia Królowej nocy na własne oczy, a tym bardziej wyhodować ją w swoim ogródku. Uprawę jakich kwiatów – może stosunkowo mało znanych a pięknie pachnących – moglibyście Państwo polecić?***

– Do uprawy na działce z roślin mniej znanych nadaje się scilla, puschinia, szafirki, tytoń; z kwiatów doniczkowych warto zwrócić uwagę na hoję, męczennicę, stefanotisa, kamelię. Ładnie pachną też fiołki afrykańskie (paulinki). Nie trzeba jednak wyszukiwać szczególnie rzadkich kwiatów. W ogródku pięknie pachnie bez i maciejka, w domu – cytryna, hiacynt, fiołek alpejski. W gruncie rzeczy najładniej pachną kwiaty doskonale nam znane.

„ŚM": – ***A więc wypada nam tylko wspólnie życzyć wszystkim czytelnikom „ŚM", by i na działkach i w domach mieli jak najwięcej pięknie pachnących kwiatów.***

– Warto jednak pamiętać, by np. na noc wynieść z pokoju, w którym się śpi lilię, hiacynta, kosaćca. Dowiedzione jest bowiem, że ich zapachy nie są obojętne dla zdrowia ludzkiego.

„ŚM": – ***Czyli wąchajmy kwiaty, ale ostrożnie. Dziękuję za rozmowę.***

Rozmawiał:
KRZYSZTOF MASŁOŃ

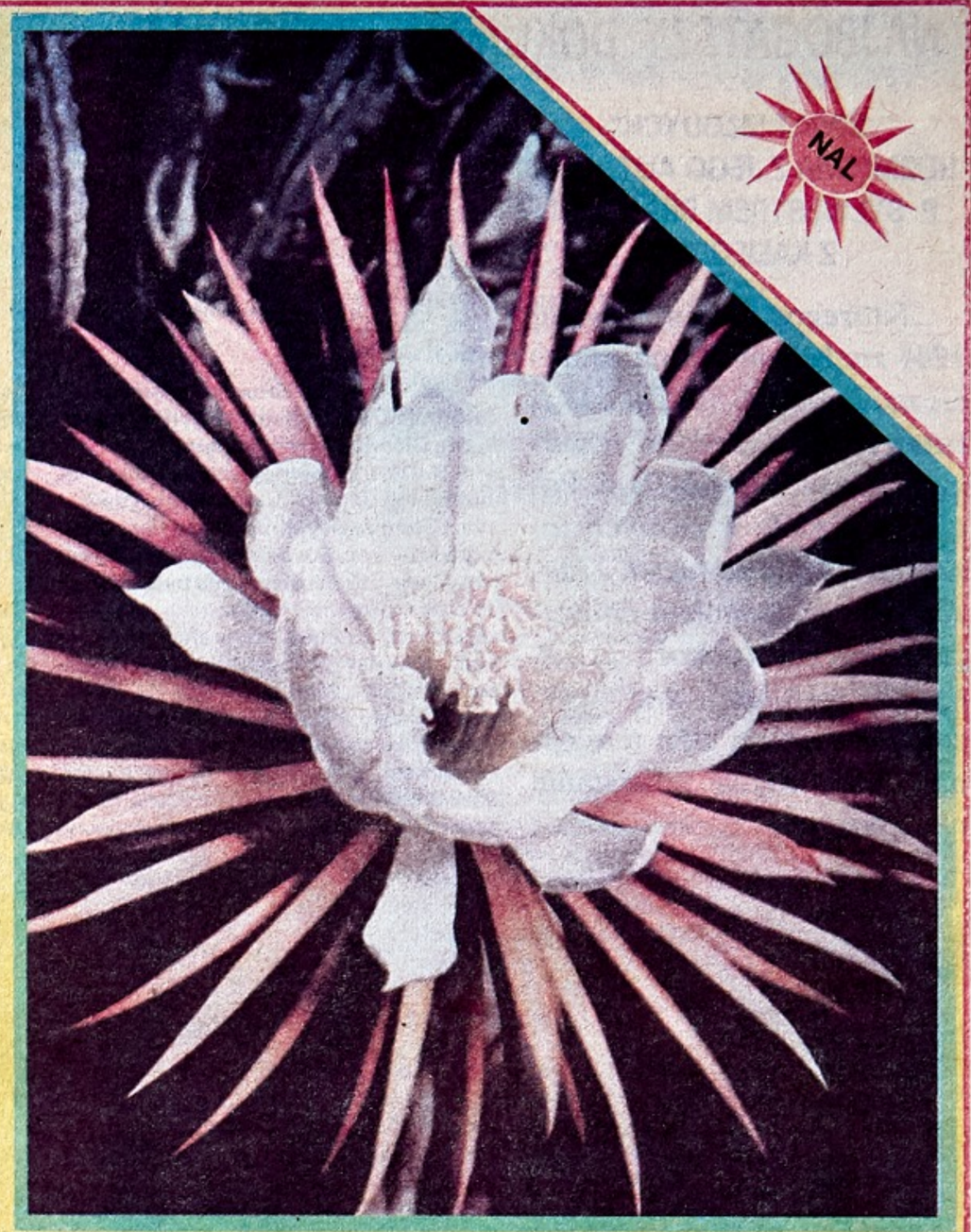

Najpiękniejszy i najbardziej tajemniczy kwiat – Królowa nocy Fot. **W. Wróblewski**

UWAGA NA NOS!

Nos jak nos, nie bardzo wiadomo, po co w ogóle jest. A tymczasem... pełni on kilka ważnych funkcji z oddechową na czele.

Dzięki swej budowie, co najmniej w 50 proc. oczyszcza z kurzu przechodzące przezeń powietrze, w zimie ogrzewa je, w gorące, suche dni – nawilża. Odruch kichania zapobiega przedostawaniu się do dolnych dróg oddechowych drobnych a szkodliwych ciał. Ba, na dodatek jeszcze, niezależnie od funkcji krtani w powstawaniu głosu, jamy nosa w połączeniu z jamami powietrznymi, tzw. zatokami, mają duże znaczenie jako rezonator głosu, nadając mu odpowiednią barwę.

Warto więc dbać o nos, tym bardziej że choroby z nim związane wcale nie należą do łatwych w leczeniu. Potencjalni kandydaci na pacjentów laryngologa z powodu chorób nosa to przede wszystkim ci, których od niemowlęctwa rodzice nieprawidłowo ubierali (przegrzewali), którzy unikają świeżego powietrza i w rezultacie są skłonni do przeziębień, zaczynających się przeważnie od błony śluzowej nosa i gardła. Druga grupa przyszłych pacjentów, to dzieci szczególnie „zadbane", nalane, bialutkie, przekarmiane potrawami węglowodanowymi – począwszy od kaszki mannej, przez potrawy mączne aż do białego pieczywa – wyrastające na tzw. jednostki limfatyczne, skłonne do nieżytów m.in. nosa i zatok.

Rzecz banalna, a niezmiernie ważna – właściwie najważniejsza! – to wyrabianie od najmłodszych lat odruchu prawidłowego wydmuchiwania nosa. Nie wycierania, podcierania, a wydmuchiwania, najpierw jednej dziurki, następnie drugiej, tak aby zawarta w nosie „treść" nie była zasysana do zatok, połączonych z nosem wspólną śluzówką. Podobne niebezpieczeństwo zapalenia zatok grozi w wypadku stosowanych czasem płukań nosa wodą. Nasze zatoki bowiem nie mają innego ujścia jak przez nos, więc wciągnięta do nosa woda, na dodatek niechybnie zawierająca bakterie, grozi zalaniem zatok i szerzeniem infekcji.

Nie przegrzewać się więc, nie przejadać, prawidłowo czyścić nos – to wszystko, co może zrobić człowiek, aby jego nos prawidłowo funkcjonował.

Czy wiecie że...

● Aby otrzymać kilogram oleju różanego trzeba destylować 3 tony kwiatów róży.

● Do perfum potrzebny jest również utrwalacz, bez którego piękna woń szybko by się ulotniła. Najczęściej stosuje się paczulę (pokrzywę amerykańską), olejek kwiatu pomarańczy i wyciąg z mchu porastającego dęby w Jugosławii.

● Utrwalacze pochodzenia zwierzęcego dodane do jakiegoś zapachu wzmacniają jego intensywność. Nie wiadomo na czym to polega, bo niektóre z nich po prostu śmierdzą, np. cybet – wydzielina z gruczołów kota abisyńskiego; czy piżmo – wyciąg z gruczołów kozła tybetańskiego.

● Niektóre zapachy perfum np. konwalii i bzu wytwarzane są sztucznie. Do tej pory ludzie nie potrafią otrzymać olejku z konwalii, a główny składnik zapachu bzu jest wytwarzany z terpentyny.

● Nos jest podstawowym narzędziem pracy perfumiarza. Taki specjalista od kosmetyków musi umieć zapamiętać zapach. Przez 3 lata kandydat na perfumiarza przechodzi trening – uczy się rozpoznawania kilkuset podstawowych zapachów.

● W mózgu człowieka znajduje się około 5 mln komórek, które „podpowiadają" z jaką wonią się spotykamy.

● Anosmia to choroba uniemożliwiająca wyczuwanie różnych woni.

● Żeby wyrazić zróżnicowanie zapachów, fachowcy korzystają z terminów używanych w muzyce i malarstwie. Mówią o kompozycjach, akordach i nutach zapachowych. Określają też barwy zapachów – np. zapach zielony ma miąższ słonecznika i sok ogórka.

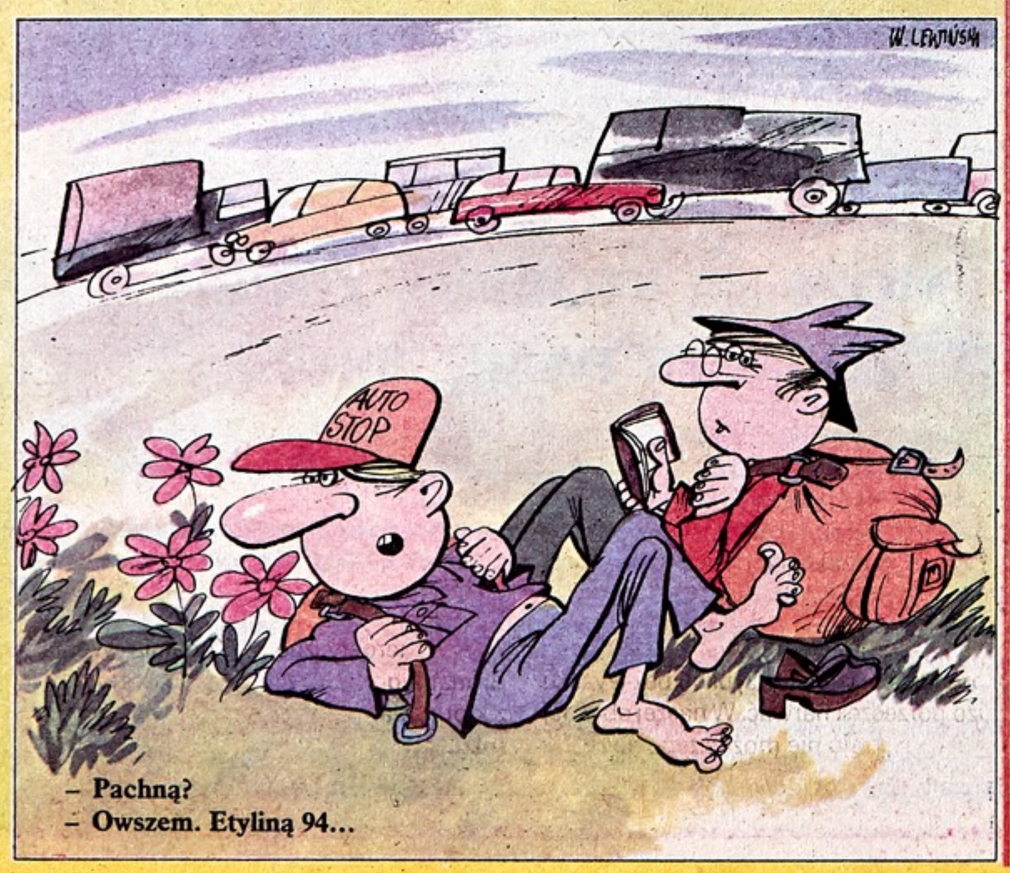

– **Pachną?**
– **Owszem. Etyliną 94...**

Kto mocniejszy w... nosie?

Cto kilka „zapachowych gier", które możesz przeprowadzić z grupą swoich rówieśników na wakacjach. Są to jednocześnie testy na rozpoznawanie zapachów.

Najczulszy nos

W puste fiolki po tabletkach lub małe buteleczki z zamknięciami wkłada się oddzielnie: kawałeczek czosnku, cebuli, watę nasyconą benzyną, acetonem (lub zmywaczem do paznokci), szczyptę roztartego majeranku, kilka kropli amoniaku, terpentyny, szczyptę posiekanego koperku itp. Uczestnicy gry kolejno (z zawiązanymi oczami) podnoszą fiolki do nosa i odgadują źródło zapachu, wymieniając je na głos. Następnemu zawodnikowi podaje się fiolki w innej kolejności. Kto odgadnie prawidłowo więcej zapachów – wygrywa.

Kim zapachowy

Do pustych papierowych torebek po produktach sypkich wkładamy oddzielnie: kawałek mydła toaletowego, chustkę skropioną wodą kolońską, pachnący charakterystycznie kwiat, odrobinę miętowej pasty do zębów itp. Torebki zawiązujemy – jak worki – u góry, pozostawiając jednak niewielki otwór na wąchanie. Uczestnicy gry wąchają kolejno poszczególne torebki i każdy zapisuje w swoim notatniku, jaki zapach poczuł. Za każdy odgadnięty prawidłowo zapach – 1 punkt; najlepszy zostaje zwycięzcą. Dla łatwiejszej orientacji torby można ponumerować.

Z nosem na straganie

W tej grze również uczestnicy mają przy próbie zawiązane oczy. Tym razem znajdujemy się „na bazarze", przy straganie z owocami i warzywami. Prowadzący grę kładzie więc na stole lub na ławce kawałek przekrojonego ogórka, przekrojoną truskawkę, rzodkiewkę, pomidor, ziemniak, jabłko, gruszkę, seler, marchewkę itp. Wąchając, zawodnik natychmiast musi wymienić nazwę jarzyny lub owocu. Oczywiście, dla następnego zmienia się kolejność ułożenia pachnących eksponatów. Kto rozróżnił więcej zapachów – wygrywa.

Strażacki nos

Uczestnicy gry ustawiają się tyłem do niewielkiego ogniska tak, by wiatr niósł na nich dym. Prowadzący grę wrzuca do ogniska kolejno – np. małą grudkę smoły, celuloid (klisze), kawałek styropianu itp. a stojący tyłem muszą na podstawie dymu ze spalających się produktów określić, co się pali. Gra przeznaczona jest dla starszych i doświadczonych, gdyż ze względu na ogień dla młodszych jest zbyt niebezpieczna. I dla otoczenie, oczywiście. Najlepszym jest ten, kto odgadł najwięcej zapachów prawidłowo. Otrzymuje on tytuł „strażackiego nosa".

NAJBOGATSZY DOKUMENT FOTOGRAFICZNY POWSTANIA WARSZAWSKIEGO ZOSTANIE PRZEKAZANY STOLICY

„KRIS" i jego „Leica"

„ŚWIAT MŁODYCH" ROZMAWIA Z JEGO AUTOREM P. SYLWESTREM BRAUNEM Z KALIFORNII

„Któregoś dnia w sierpniu 1944 znalazłem się na szczycie najwyższego budynku Warszawy, „Prudentialu" w momencie zawieszania flagi. Pociski gwizdały w różnych tonacjach, bijąc zewsząd. Zafascynowany spokojem i odwagą żołnierza (pchor. „Garbus") zrobiłem mu serię zdjęć. Niestety, film ten zginął, więc niech pozostanie choć ten opis"...

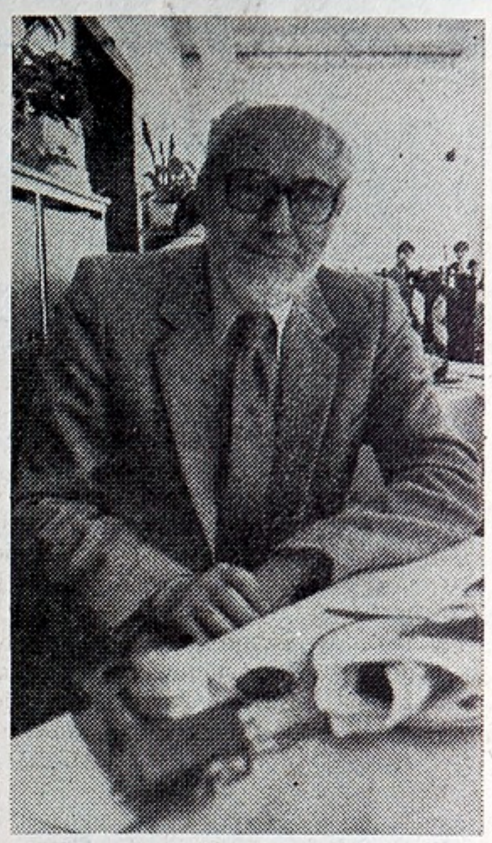

Sylwester „Kris" Braun

„ŚM": Był Pan fotoreporterem Biura Informacji i Propagandy (BIP) przy Komendzie Głównej Armii Krajowej...

S.B.: W czołówce filmowej BIP-u znalazłem się w pierwszych dniach Powstania. Byłem zaprzyjaźniony z szefem BIP-u i dzięki temu pracowałem na odmiennych zasadach niż pozostali fotoreporterzy. Miałem całkowicie wolną rękę, nie przydzielono mi rejonu fotografowania i nie otrzymywałem żadnych rozkazów. Działałem wszędzie tam, gdzie coś się działo, gdzie trwały walki. Również nie miałem obowiązku oddawania filmów do centrali. Natomiast zobowiązany byłem dostarczać odbitki w prasowym formacie 13×18 cm. Zdjęcia te były wykorzystywane w prasie powstańczej, szczególnie w rozwieszanym na ulicach miasta tygodniowym, fotograficznym dodatku do powstańczego Biuletynu Informacyjnego. Odbitki przygotowywałem w domu.

Kiedy przestała pracować Elektrownia, zgasło światło, coraz trudniej też było o wodę. Nie mogłem już robić powiększeń. Nie wymagano już ode mnie odbitek, ale ciągle fotografowałem – walka o Warszawę przecież się toczyła. Naturalnie cały czas byłem na bieżąco w wydarzeniach, co pozwalało mi nierzadko przewidywać to, co będzie miało miejsce jeszcze dziś, jutro, za parę dni.

„ŚM": Przeżył Pan wiele fotoreporterskich przygód.

S.B.: Tak np. podczas ataku na komendę policji. Dostałem się do Pałacu Staszica, który częściowo znajdował się jeszcze w rękach Niemców. Ubezpieczany przez pełniących służbę na tym odcinku chłopców z AK, tylko z aparatem w ręku, biegłem korytarzem i zatrzymałem się w sali, gdzie jeszcze ciepłe koce wskazywały, że placówka niemiecka musiała dopiero co ją opuścić. Z okna roztaczał się widok na przedpole, znajdujące się w rękach wroga; przed bramą komendy zobaczyłem niemieckie stanowisko cekaemu, który strzelał wzdłuż ul. Nowy Świat. Znajdowało się kilkadziesiąt metrów ode mnie. Zrobiłem serię zdjęć. Widać po nich, że są „nerwowe". Niemcy w każdej chwili mogli skierować ogień na mnie.

23 sierpnia, o świcie rozgorzała bitwa. Z okien Pałacu Staszica zrobiłem serię zdjęć. Wieże kościoła leżały już strącone na ulicy i płonęły. W świątyni trwała walka. Dostałem się tam przez wyłom w murze od ul. Świętokrzyskiej. Tędy nacierała grupa „Harnasia". Dotarliśmy do drzwi od strony Krakowskiego Przedmieścia, otworzyłem je i zobaczyłem czołg i płonące kościelne wieże. Sfotografowałem to i wróciłem do wnętrza. Ujrzałem pękniętą tablicę z napisem: „Gdzie dom twój, tam serce twoje". To była tablica ku czci Chopina. Paliła się boczna nawa. Żołnierze próbowali gasić płomienie, inni modlili się. Koledzy z czołówki filmowej robili zdjęcia. Było już po bitwie. Wyprowadzano niemieckich jeńców i granatowych policjantów. Wysoki, szczupły porucznik AK niósł zdartą z komendy policji flagę ze swastyką. Szybko podniosłem do oka moją „Leicę". Najwięcej zdjęć mam z rejonu ul. Ordynackiej, Wareckiej, Poczty Głównej i Placu Napoleona – tędy bowiem prowadziła moja droga z mieszkania przy ul. Kopernika do Śródmieścia, do centrali. Obraz tych ulic zmieniał się stale. Przez to, że rejestrowałem je często, powstała jakby kronika zniszczeń i zdarzeń, jak w filmie o zwolnionym tempie...

„ŚM": Jak doszło do zrobienia najsłynniejszego Pańskiego zdjęcia, wybuchu w gmachu „Prudentialu"?

S.B.: Budynek ten był wielokrotnie bombardowany, ale bardzo mocna żelbetowa konstrukcja wytrzymywała. Doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie Niemcy będą go chcieli zniszczyć za pomocą pocisku ciężkiego kalibru. 28 sierpnia wszedłem na dach swego domu. Po godzinie ujrzałem potężny pocisk działa kolejowego, lecący na tle błękitnego nieba. W momencie wybuchu zrobiłem serię sześciu zdjęć.

„ŚM": Ile zdjęć zrobił Pan podczas Powstania?

S.B.: Około trzy tysiące. Zrobiłem je w różnych rejonach Warszawy.

„ŚM": Wiem, że znaczna większość zrobionych przez powstańczych fotoreporterów dokumentów nie zachowała się. W jaki sposób ocalały pańskie?

S.B.: Po upadku Powstania filmy zakopałem w piwnicy domu przy ul. Marszałkowskiej, w pobliżu ul. Śniadeckich. Zaraz po wyzwoleniu odnalazłem słoje z negatywami. Mniej więcej połowa z nich zachowała się. Zniszczeniu uległy, m.in. zdjęcia rejestrujące wyjście obrońców Starówki z kanałów, wydarzenia i pejzaże Czerniakowa, zawieszenie polskiej flagi na szczycie „Prudentialu".

„ŚM": Co działo się z Panem po upadku Powstania?

S.B.: Wyjechałem do Szwecji, potem, po kilkunastu latach, do Kalifornii. Przez wiele lat pracowałem jako elektronik.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Fot. **Sylwester „Kris" Braun i Włodzimierz Barchacz**

1

2

3

4

1. Moment trafienia gmachu „Prudentialu" (dziś Hotel „Warszawa") pociskiem działa kolejowego

2. Obrońcy Poczty Głównej na Pl. Napoleona (dziś Pl. Powstańców Warszawy)

3. Kolumna jeńców niemieckich na ul. Jasnej, wyprowadzana z budynku PKO przy ul. Świętokrzyskiej

4. Zdarta hitlerowska flaga ze zdobytego 23 sierpnia gmachu komendy policji

5. Ul. Ordynacka

UWAGA CZYTELNICY! Wystawa fotografii p. Sylwestra „Kris" Brauna otwarta zostanie 28 września w Muzeum Historycznym Miasta Warszawy, przy Rynku Starego Miasta.

MOŻE NA KTÓRYMŚ Z NICH ZOBACZĘ TWARZ BRATA

„Byłem w gmachu Filharmonii w momencie wybuchu pocisku. Słyszałem, że uratował się dowódca plutonu. Proszę o kontakt. Byłem łącznikiem w tym plutonie, ps. „Szajkowski" wówczas 14 lat" – Wojciech Zieliński.

„Ogromnie prosimy o udostępnienie nam, powstańcom i naszym rodzinom całego Pańskiego materiału w innych wystawach lub albumach. Czas leci, jest nas coraz mniej" – I. Skoturecka.

„Ze wzruszeniem oglądam dziś wraz ze swym synem zdjęcia z tamtych nigdy nie zapomnianych dla mnie dni. Przeżyłem Powstanie w Warszawie, tu poległo moich dwóch braci, których pamięć jest dla mnie święta. Bardzo pragnę zobaczyć następne fotogramy. Może na którymś z nich zobaczę twarz brata?" – podpis nieczytelny.

Wypowiedzi wynotowaliśmy z Księgi Pamiątkowej, wyłożonej na wystawie 66 fotografii „Krisa", która odbyła się dwa lata temu w warszawskim Domu Dziennikarza.

Coś specjalnego!!!

DLA CZYTELNIKÓW KĄCIK PRZEZ OBIEKTYW

Pan Sylwester „Kris" Braun wykonywał zdjęcia małoobrazkowym aparatem Leica-Standard, bez użycia wymiennych obiektywów, a więc tylko obiektywem standardowym (o ogniskowej 50 mm), przeważnie na filmie kinematograficznym „Superpan" o czułości 21 DIN, który ciął z 300-metrowych puszek. Przy fotografowaniu prześwietlał filmy dwukrotnie i wywoływał je w specjalnych, robionych przez siebie, bardzo drobnoziarnistych wywoływaczach.

5

W ŚWIECIE TRZEBA UMIEĆ ŻYĆ – A NIE JAK PAJĄK SIĘ KRYĆ!

PRZEJAŻDZKI PEGAZEM

„Świat jest szary i nudny,
świat jest wściekły i trudny.
W świecie trzeba umieć żyć
– a nie jak pająk się kryć!"

– pisze **Ela z Kietrza**. Listów z wierszami do mej otwartej w czasie Wielkanocy ujeżdżalni nadeszło tak dużo, że miałem już ochotę uciec z redakcji i zaszyć się w jakimś kąciku. Ale po przeczytaniu poetyckiego apelu Eli postanowiłem jednak odważnie stawić czoła lawinie! Będę więc, drodzy Pacjenci, drukował kolejno Waszą twórczość, odtwórczość i podtwórczość – ale musicie się uzbroić w cierpliwość. mam przecież teraz na głowie i poważny Wakacyjny Konkurs Poetycki poświęcony samotności! A może i Wy weźmiecie w nim udział?

Moja ujeżdżalnia służyć ma tym, którzy uczą się dopiero dosiadać Pegaza i przysyłają mi pisane z uporem godnym lepszej sprawy swoje radosne idiotyzmy i ponure wypociny, opatrując je – jak np. **Ala z Muszyny** – takim komentarzem: *„Mój wiersz jest głupi, ale mnie się podoba, więc go wydrukujcie!"* Patronem tej marnującej cenny papier instytucji jest XIX-wieczny „król grafomanów polskich" Soter Rozmiar Rozbicki, który sam nazywał się skromnie Pacjentem Filozofii. Jego też przedstawia, jadącego na razie na ośle, nasz znaczek. Mam nadzieję, że nie macie mniejszego poczucia humoru, niż on i że podobnie lubicie nonsensowną poezję, czy poezję nonsensu (inaczej: absurdu).

Czy jest sens w przedstawianej dzisiaj kolejnej porcji Waszych wierszy?

„Może jest sens, a może go nie ma?
– ludzie martwcie się, mi dajcie spokój!"

– odpowiadam słowami autorki ślicznych bluesów podpisanych pseudonimem: **„Klara Kaczor"**. Podejrzewam, iż jest to jakaś kotka – z uwagi na to, że lubi miękkie fotele i jaśki, woli mleko od bigosu, miauczy i wiele torski poświęca swemu ogonowi...

Pozostaje jeszcze wytłumaczyć, dlaczego zamieściłem tu wiersz „Zima". Uważam otóż, że dobry jest teraz i wiersz dla ochłody. Nie każdego wszak stać na lody lub na stanie po nie w kolejce! I tyle, drodzy Pacjenci! Piszcie!!!

Julek

ZIMA

Jadą sanie lasem cichym,
śnieg spod kopyt bryzga,
a leśniczy siedzi na nich
i wesoło... gwiżdże.
Wiezie on dla zwierząt
pokarmu wór cały,
by zwierzęta były syte,
by nie głodowały.
Przywiózł on dla wilków
dziś coś niedobrego
– przybiegły i zjadły
pana leśniczego!

Sylwek z Kolna

MINKA

Szła raz drogą tłusta świnka:
na ryjeczku błyszczy szminka,
wesolutka świnki minka!
Lecz na drodze była linka
i potłukła szynkę świnka.
Na nic teraz zda się szminka,
gdy na ryjku świnki glinka!
Jakże inna jest jej minka...

CEGŁA I MŚCIWA SIECZKA (Z cyklu „Brakoroby")

Odpadła cegła ze ściany,
poszła sobie w świat nieznany.
I głośno się odgraża,
że znajdzie swego murarza!

Wyszedł raz z beczki
kawałeczek sieczki.
Poszedł drogą koło płotu,
zauważył go ptak z lotu.
– „Dokąd?" – spytał, nim odleciał
– „Kto się tak naraża?"
„Idę straszyć gospodarza,
co mnie tak posiekał!"

Maciej z Giżycka

JEŻE

Kłóciły się trzy jeże,
który z nich ma jabłka świeże.
Każdy, kto przechodził, widząc jabłek stos,
zatykał sobie łapą nos.

WILK I ZAJĄC

Zobaczył zając, jak wilk dzika połyka.
Pomyślał: „I ja tak spróbuję!"
Do dziś wymiotuje...

MOLE

Kłóciły się dwa mole,
który z nich umie pływać w rosole.
Rozpoczęły się zawody.
Oba już nigdy nie wejdą do wody...

KOLEJKI

Stoimy w kolejkach, czekając na „odnowę"
przeklinając tego, kto wymyślił kolejki linowe.

PTAKI

spierały się, który poszybuje wyżej.
Przegrał wróbel i ćwierknął: „Lotem bliżej!"

KOTY

KOT
walną kota w splot.
Nim zdążył zapytać, dlaczego
– dostał drugi raz od niego.

KROWY

Powiedziała krowa do krowy,
gdy jeszcze nie było „odnowy":
„Niechby to gałąź trzasła,
w spożywczym nie ma masła!"

PAPIER

Marysia
powiedziała do Zbysia
przy kolacji:
„Wiem, gdzie można kupić papier do ubikacji!"
Pobiegł Zbysio po owy
papier toaletowy.
Tak szybko, że dostał kolki
– zostały już tylko dwie rolki!

Szczepan z Lublina

G-dur, E-moll, C-dur, E-dur, A-moll – czyli cała piosenka

Ja pomimo mego wieku
oraz twarzy romantyczki
lubię szmal i grosz, i pieniądz,
i pożyczki, i zaliczki!
I nie mówcie o miłości,
o błękitach, o słowikach
– gdy usłyszę monet brzęk,
twarz uśmiechem mi rozkwita.
Nie bajeruj, miły bracie,
że mnie kochasz! Mówię szczerze:
nie na ławce w parku wiosną,
ale w banku ci uwierzę!

Blus imieninowy

Półcienie łażą po ścianach.
Latarnia różowo świeci.
Pachnie słońce brunatnie.
Spać już poszły grzeczne dzieci.
Blues po duszach gra,
Blues na skrzypce i gitarę,
Blues na serca stare,
Blues na serca dwa!
Koszyk światłem jest oblany
I wiklina okiem błyska.
Fotel miękki – pełnia szczęścia!
Na parapet deszczyk pryska.
Blues – nasza rzecz skrzypcowa,
Blues – nasz stary przyjaciel!
Mówisz: „miau, ja lubię cię".
Ja cię też! Wiesz jak ja cię?!
Rudo miauczy moje serce.
Różowością nęci jasiek.
Już kaczory głośno kwaczą,
No, a nam jak zwykle, bracie:
Blues po duszach gra... itd.

Śmigus-dyngus blues

Stoi stara, wywietrzała mineralna.
Już bąbelki dawno wyleciały.
Zimno w nogi, ogon opadnięty.
Człowiek kwaśny jak żurek i mały.
Tylko bluesik gdzieś po kątach miauczy.
Tylko bluesik coś tam sobie nuci.
Jeszcze chwilka mała, albo duża
I do siebie człowiek znowu wróci!
O miłostce nawet się zapomni
I o deszczu, i o grzeszkach różnych,
O ulicy, knajpie i walizkach,
O panienkach, bambrach i podróżnych.
Bluesik śmielej spojrzy w moją stronę.
Bluesik śmiało podejdzie jak dawniej.
Zaśpiewamy fałszem jedną nutę,
No, a potem już pójdzie nam ładniej!

Wróciłam właśnie ze szkoły

Mam w pokoju stół nieromantyczny,
na nim trochę szkiełek, pchełek, książek.
Już wypiłam wyziębnięte mleko,
zjeść bigosu nie chcę lub nie zdążę.
Może jest sens, a może go nie ma?
– ludzie martwcie się, mi dajcie spokój!
Jak wiewiórka ogon poleruję,
a dokoła pusty, zimny pokój.

Klara Kaczor z Wrocławia

usługi

PANI JOANNA ORYL RADZI:

Jak pielęgnować cerę

Brzydka, zła cera, jest dla niejednego nastolatka bolączką na wielką skalę. Każdy bowiem chciałby mieć buźkę ładną i gładką, a z tym niestety bywa różnie. W nadsyłanych listach do redakcji prosicie, żeby udzielić Wam porad, od kiedy i jak należy dbać o cerę, aby wyglądać najkorzystniej. Chcąc Wam pomóc poprosiłam o rozmowę panią Joannę Oryl – kosmetyczkę ze Spółdzielni Pracy Fryzjersko-Kosmetycznej „Współpraca" – zakład nr 26 w Warszawie.

– Jak faktycznie zorientować się, że nadszedł ten dzień w którym zaczynamy poważnie myśleć o swoim wyglądzie tzn. dbać o cerę?

– To łatwe do zaobserwowania. Tym sygnałem jest pierwszy wykwit. Nie czekamy z przerażeniem na następne. Przystępujemy do pielęgnacji twarzy od zaraz.

– Ale jak?

– Gdy pojawi się pierwszy wykwit tzn. że mamy do czynienia z cerą trądzikową. Często odruchowo chcemy pozbyć się tego jednego szpecącego buzię wykwitu i po prostu wyciskamy go palcami. Bywa, że przed tym błędnym zabiegiem nie umyjemy nawet rąk. A to już zasadniczy błąd. Podstawowym bowiem elementem przy tego rodzaju zabiegach jest idealna higiena. Jeśli już jednak musimy tego dokonać, robimy to przez watkę umoczoną uprzednio w spirytusie salicylowym. Jest to jednak o tyle niebezpieczne, że grozi infekcją całej twarzy. Najkorzystniejsze dla cery tłustej jest regularne wysuszanie jej.

– Czy to wymaga wiele pracy i umiejętności?

– Nie. Twarz myjemy mydłem wysuszającym, a co drugi dzień wieczorem płuczemy w przegotowanej wodzie z dodatkiem azulanu, lub rumianku. Azulan jest to skondensowany rumianek, do nabycia w aptekach. Proporcja: na dwa litry przegotowanej wody, 1/2 łyżeczki azulanu. Tym roztworem dokładnie zmywamy namydloną twarz.

– Dziewczęta są w lepszej sytuacji od chłopców, bo czoło pokryte trądzikiem mogą zasłonić sobie grzywką – prawda?

– Właśnie o tym chciałam powiedzieć parę słów. To podstawowy błąd, zasłanianie włosami twarzy. Włosy bowiem przy cerze trądzikowej infekują całą twarz. Dlatego też należy je odgarniać. Likwidować grzywki, długie włosy upinać z tyłu, aby jak najwięcej powietrza i słońca dochodziło do chorej skóry, którą dobrze jest od czasu do czasu zdezynfekować roztworem spirytusu salicylowego i przegotowanej wody (proporcją 1:1).

– Gdy jednak te domowe zabiegi, nie wymagające zresztą dużo wysiłku, nie przynoszą oczekiwanych rezultatów – co wtedy pani proponuje?

– Wizytę w najbliższej spółdzielni pracy fryzjersko-kosmetycznej, gdzie kosmetyczka dokona fachowego zabiegu oczyszczenia skóry. Takiemu zabiegowi wystarczy poddać się raz na trzy miesiące. Bardzo jednak korzystnie wpływa na poprawę cery. Niewiele jednak młodzieży korzysta z naszych usług – a szkoda. Można nawet przyjść po samą poradę.

– Pominęłyśmy cery suche, a i takie przecież bywają.

– Tak, ale z tymi mniej kłopotu. Nie znaczy to, że nie należy o nie dbać. Gdy cera jest sucha, delikatna, wskazane jest mycie twarzy w przegotowanej wodzie. Mydło powinno być przetłuszczone. Dobrze jest na noc wklepywać w skórę trochę kremu.

– Trwają wakacje. Może na zakończenie kilka słów o korzystaniu z promieni słonecznych.

– Słońce to zdrowie. Dawkujemy jednak je jak lekarstwo. Opalamy się stopniowo. Nie wolno pierwszego dnia leżeć plackiem na plaży parę godzin. To grozi poparzeniem. Cery trądzikowe opalamy na sucho. Dla cer suchych proponuję kremy tłuste.

CZSP CENTRALNY ZWIĄZEK SPÓŁDZIELCZOŚCI PRACY

GWIAZDOZBIÓR Z

GARY COOPER – filmowy cowboy

Za pierwszy western uchodzi dziesięciominutówka nakręcona około 1903 roku pt. „Napad na expres", a jej twórca Edwin S. Porter uznany został za „ojca westernu". Już przedtem powstawały wprawdzie krótkie filmiki – obrazki z życia Dzikiego Zachodu, ale były one pozbawione logicznego wątku fabularnego. W parę lat później western stał się ulubionym gatunkiem dla widzów filmowych i pozostał nim do dziś. Atrakcyjność filmów o cowboyach i Indianach była w pierwszym ćwierćwieczu naszego wieku tym większa, że żyli jeszcze ludzie, którzy pamiętali czas gorączki złota (pierwszy jej atak miał miejsce w 1846 r. w Kalifornii), odkrycie złota i srebra w Newadzie w 1859 r., wojnę secesyjną. Byli nawet tacy, którzy osobiście brali udział w pionierskich wyprawach w głąb kontynentu. I choć obrazy filmowe dalekie były od rzeczywistej i przecież bliskiej w czasie historii, nikogo nie rozczarowywały, bo umacniały piękną legendę młodego narodu osnutą na tle wydarzeń autentycznych. Legendę tę wcześniej stworzyli dziennikarze i pisarze w rodzaju Jamesa Fenimore Coopera (któż i dzisiaj nie zna jego pięcioksiągu Sokolego Oka!), a stworzyli ją z anegdot o życiu mocnych, zaradnych i niezwykle odważnych bohaterów – osadników.

Western rozwijał się i stawał się coraz bardziej dynamiczny. Obfitował w końskie galopady, koncerty popisów rewolwerowych i sztuczki wręcz cyrkowe. Potrzebni doń byli więc aktorzy, którzy mogliby podołać jego wymaganiom. Zaczęli rodzić się bohaterowie, których publiczność darzyła specjalną sympatią. Taki był np. legendarny Broncho Bill – odważny i niezwyciężony cowboy. Początkowo grał go (już w „Napadzie na expres") Gilbert M. Anderson, później rolę tę przejął po nim William S.Hart były aktor teatralny.

Wymagania jakie stawiali widzowie „swojemu" bohaterowi świetnie ilustruje anegdota przytoczona w książce „Western" przez Czesława Michalskiego. Jest to przeżycie znanego reżysera wczesnych westernów Raoula Walsha. Był on pewnego razu, jeszcze jako chłopiec, w kalifornijskim kinie na filmie z Hartem. Połowę widzów na sali stanowili cowboye, którzy darzyli Harta wielką sympatią. Z roli jednak wynikało, że Hart, który grał przybysza ze Wschodu, nie umie jeździć konno i w ogóle nie jest z koniem obeznany. Osiodłał zwierzę nieporządnie, i zbyt luźno dociągnął popręg. Kiedy włożył nogę w strzemię, siodło obsunęło się i aktor spadł na ziemię. W chwilę później na widowni rozległy się przeraźliwe gwizdy i wybuchła prawdziwa kanonada. Ekran był podziurawiony jak sito.

Nic dziwnego więc, że aktorzy obsadzani w rolach cowboyów w rzeczywistości także musieli świetnie strzelać i jeździć konno. Ulubionymi aktorami tamtych czasów byli więc jeszcze Harry Carey – gwiazda „Uniwersalu" – aktor o ambicjach sportowych, Eddie Polo – „król odwagi", były akrobata cyrkowy i Tom Mix, kolejne wcielenie Broncho Billa – a w rzeczywistości były szeryf z Oklahomy. Masowo w westernach statystowali też autentyczni cowboye.

Gary Cooper był ostatnim autentycznym cowboyem na filmowym ekranie. Tylko on z licznej rzeszy aktorów – cowboyów został odznaczony dwukrotnie Oscarem za najlepsze role filmowe (za tytułową rolę w filmie „Sierżant York" (1941) i za rolę szeryfa „W samo południe" (1952).

Urodził się w górniczym miasteczku Helena w stanie Montana, gdzie po wyemigrowaniu z Anglii osiedlili się jego rodzice. Przez sentyment do starego kraju rodzice wysłali go jednak do szkoły w Anglii i tam nauczył się poprawnej wymowy, która przydała mu się później w filmowej karierze. Po powrocie do Ameryki pracował kilka lat jako cowboy na ranczu swego ojca, pasał bydło i opiekował się końmi. Za namową przyjaciół cowboyów, którzy statystowali często w filmach zdecydował się on spróbować tej sztuki i to rezygnując ze studiów malarskich. Grywał epizodyczne role opryszków, pijanych awanturników i żołnierzy w filmach, w których brylowali Tom Mix i Eddie Polo. W końcu jeden z producentów zauważył jego świetną jazdę na koniu. To był uśmiech losu. W 1926 roku zagrał pierwszą dużą rolę w filmie „Rozpętane żywioły" z głośną gwiazdą owych czasów Vilmą Banky i znanym amantem Ronaldem Colmanem. Następny rok przyniósł mu już sześć niezłych ról i rozgłos.

Jego kariera aktorska trwała 35 lat. Niezmiennie odtwarzał postacie tzw. bohaterów pozytywnych – niepoprawnych i wzruszających idealistów. Byli to nie tylko cowboye, ale też amanci, żołnierze, lotnicy, marynarze z pierwszej wojny światowej. Stał się jedną z najpopularniejszych postaci filmu niemego i dźwiękowego dla kilku pokoleń widzów. Najlepsze utwory z nim, a raczej filmy, które przynosiły największe dochody to: „Skrzydła", „Upadły anioł", „Wielkomiejskie ulice", „Bengali", „Pokusa", „Pan z milionami", „Sierżant York", „Pożegnanie z bronią" i „Komu bije dzwon" wg Hemingwaya oraz „Niezwyciężony Bill", (w którym gra samego Buffalo Billa) i „W samo południe". Jego dorobek to w sumie ok. 140 filmów. Za ten dorobek w 1961 r. otrzymał trzeciego Oscara.

A oto jak romantycznie jawił się Gary Cooper zachwyconej polskiej kinomance, czytelniczce „Kina" z 1932 roku, która napisała na jego cześć wiersz:

Na tle widnokręgu wyrosłeś
cowboy chwytający bizony –
powietrze w miastach zawsze gorzkie
i zawsze rzeźwe w stepach Arizony.

Okiem obejmiesz wielki kawał świata,
z kulbak mustanga – dokoła –
tu świat jest dziki, chociaż w kwiatach
i dziko dźwięczy pieśń żywiołów.

(eb)

Fot. **archiwum**

DOM MODY świata młodych

WAKACYJNYM POPOŁUDNIEM(2)

Postanowiłam kontynuować dzisiaj wątek z zeszłego tygodnia (stąd identyczny tytuł opatrzony numerem dwa). Pomyślałam sobie bowiem, że nie wszystkie dziewczyny „czują melodię" do drutów lub szydełka, ale wszystkie w końcu (no, może są jakieś wyjątki, ale naprawdę szalenie nieliczne) potrafią w ręku trzymać igłę. Więc jeśli już niemożliwe byłoby spędzenie wakacyjnego popołudnia na dzierganiu bluzeczki z włóczki, to na pewno można je spędzić na szyciu spódnicy. Oczywiście jeśli ktoś nie ma co z czasem zrobić i uważa, że nowa bawełniana spódnica mu się przyda.

Jeśli chodzi o warunek pierwszy – rzecz jest indywidualna, jeśli chodzi natomiast o warunek drugi – to przyjęło się, że jakieś ewentualnie nowe rzeczy człowiek sprawia sobie na początku sezonu (lata, jesieni, zimy). Ale właściwie – dlaczego?! Owszem, fajnie jest witać wakacje czymś nowym, ale dlaczego niby nie można by ich czymś nowym (ciuchem jakimś nowym) pożegnać?! Tymbardziej jeśli ciuch to będzie taki bardziej... ponadczasowy, o którym wiadomo, że i za rok do noszenia się nada, a i jesienią też będzie do założenia (wtedy w towarzystwie cieplejszej jakiejś „góry"). Bo ta ponadczasowość, to główna zaleta szerokiej bawełnianej spódnicy. No, ma ona jeszcze i parę innych zalet też, wśród nich na poczesne miejsce wybija się ta, że spódnica taka jest stosunkowo prosta do uszycia – jedynym miejscem, gdzie trzeba ją dopasować jest talia, ale i tutaj nie musi to być zbyt precyzyjnie dokonane, bo modnie jest nosić taką spódnicę z jakimś szerokim plastikowym paskiem w talii, który... wszystkie własnoręcznego szycia niedoróbki skutecznie zasłania. Surowiec do jej uszycia też nie jest zbyt kosztowny. W zależności od długości (wysokości właścicielki), potrzeba na taką spódnicę 1.8 – 2.2 metra bawełnianego materiału o szerokości 0.9 – 1.2 metra. Taki materiał (kreton, satyna itp.) kosztuje ok. 50–70 zł za jeden metr. Maksymalnie więc własnoręcznie szyta spódnica będzie kosztowała nieco powyżej 150 zł, podczas gdy gotową trudno kupić taniej niż w cenie ok. 400–500 zł. Warto się więc pomęczyć. Nawet jeśli trzeba będzie szyć w ręku.

Najładniej układa się spódnica uszyta z klinów (4 lub 6) krojonych wzdłuż materiału (tj. długość materiału jest długością spódnicy). U góry suma szerokości wszystkich klinów powinna być o co najmniej 1/3 większa niż obwód talii, aby można było spódnicę ładnie zmarszczyć. Dół oczywiście będzie szerszy, bo kliny (jak sama nazwa wskazuje) rozszerzają się ku dołowi. Górę wszywa się w pasek albo podwija, robi tunelik i wciąga weń gumkę. Dół trzeba wyrównać i ładnie obrębić. W sumie – robota na dwa, no, góra trzy popołudnia (a jak kto się dobrze uwinie, to i w jedno popołudnie robotę skończy).

Spódnica na zdjęciu ma również kieszenie. Są one i modne i wygodne bardzo, ale... to już wyższa szkoła krawieckiej jazdy. I bez kieszeni spódnica będzie całkiem tip-top. Byle była fałdzista, kwiecista, niezbyt jasna (brudzi się, a po drugie – optycznie poszerza) w kolorze.

RIUSZKA

Co słychać w olimpijskiej wiosce?

ZSRR (PAP). Mniej więcej rok temu odbyła się w Moskwie Olimpiada'80. Była pompa, wrzawa, jak się to mówi – oczy całego świata zwrócone na stadiony. A potem? – Okazało się, że wioska nie zapadła w letarg. Cały czas tętni życiem; stała się jednym z ośrodków sportu masowego w Moskwie.

Od września ub. roku do maja 1981 przeprowadzono tu 122 imprezy sportowe, zaś w zajęciach treningowych wzięło udział ponad 200 tys. osób. Na basenie nauczyło się pływać przeszło 2 tys. dzieci.

Trenują tu również cały czas najlepsi radzieccy, i nie tylko, zawodnicy: zapaśnicy, skoczkowie do wody, lekkoatleci z Angoli, przygotowujący się w Moskwie do igrzysk afrykańskich. **(kl)**

Bardziej przypomina obraz...

ZSRR (PAP). Dywan z drewna jest podobno przepiękny, bajecznie kolorowy, zachwyca fantazyjnością wzorów i harmonią rysunku. Twórca drewnianych dywanów to były cieśla, dziś na emeryturze. Dziesiątki lat spędził wśród drzew i drewna, wreszcie – poczuł się artystą. Po długich, długich przygotowaniach złożył swój pierwszy w życiu dywan.

Dywan ma wymiary 120x180 cm i składa się z 14 tys. drewnianych kawałeczków. Inny dywan ma podwójny obwód, do którego wykonania artysta zużył aż 85 tys. kawałków drewna.

Zdumiewające jest, że kolory niecodziennych dywanów zmieniają się prawie niepostrzegalnie, przechodzą w różne pastelowe odcienie tych samych barw. W ten sposób dywany te przypominają bardzo obrazy i są naprawdę piękne, jak mówią znawcy. **(kl)**

Podczerwień na straży lasów

ZSRR (PAP). Śmigłowce kazachstańskich służb przeciwpożarowych zostały wyposażone w urządzenia działające na podczerwieni, co w czasie przelotów nad lasami pozwala załogom wykrywać najmniejsze nawet ślady podwyższonej temperatury, a więc – likwidować pożar w zarodku. Pod kontrolą służb lotniczych pozostaje w Kazachstanie 6 milionów hektarów lasów, w tym nadzwyczaj cenne lasy iglaste nad Irtyszem. **(kl)**

„KRIS" i jego „Leica"

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

Moją specjalnością było projektowanie płytek trawionych do komputerów. Przez cały czas odczuwałem potrzebę przekazania tego, co zarejestrowałem. Przez wiele lat nikt w kraju oficjalnie nie zainteresował się moimi zdjęciami. Jednocześnie nie chciałem przekazać swego archiwum nikomu za granicą. Miejsce tych zdjęć było tylko w Warszawie. Wreszcie dwa lata temu, gdy dotarła do mnie wieść o akcji „Kuriera Polskiego", który poszukiwał autora zdjęcia wybuchu pocisku na „Prudentialu", przyjechałem do Polski. Obecnie jestem w stolicy po raz trzeci, przyjechałem na zaproszenie Muzeum Historycznego Miasta Warszawy oraz Ministerstwa Kultury i Sztuki, bo pod koniec września otwarta będzie wreszcie wielka wystawa moich zdjęć.

„ŚM": Czy podoba się Panu dzisiejsza Warszawa?

S.B.: Pejzaż miasta zupełnie się zmienił. Trudno wprost uwierzyć, że na tych ruinach, na tych zgliszczach, powstało tak piękne, tętniące życiem miasto. Najwspanialsze jest to, że zatroszczono się o zabytki i z drugiej strony, pięknie miasto rozbudowano. Warszawa jest nowoczesną metropolią, w której nie zapomniano o historii.

„ŚM": Nadal Pan fotografuje...

S.B.: Nie wiem dlaczego, ale fotografia nie jest moim hobby. Tylko tutaj, w Warszawie, chętnie sięgam po aparat. Kupiłem sobie tę oto „Zorkę", jakże podobną do mej powstańczej „Leicy". Chodzę z aparatem w te miejsca, gdzie fotografowałem w czasie Powstania i uwieczniam ich dzisiejszy obraz...

„ŚM": Dziękujemy Panu za rozmowę.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ BARCHACZ

MODA Z PALEOLITU

ZSRR (PAP). Dziś jeszcze niemal „gwóźdź sezonu" – kombinezon, noszony był, jak się okazało, na Syberii już w epoce paleolitu. Wniosek taki nasunął się radzieckim archeologom, gdy odkryli oni naskalny rysunek przedstawiający dziewczynę w kombinezonie z kapturem. Skroił go przed dwudziestoma tysiącami lat w tajdzie koło Bajkału jakiś prehistoryczny krojczy. Znawcy twierdzą, że wykazał smak i wysokiego lotu kunszt, mając do dyspozycji tylko igłę kościaną, prymitywne szydło i kamienny nóż! **(kl)**

Na rysunkach tych przedstawiono poszczególne etapy lądowania „Vikinga" na powierzchni Marsa

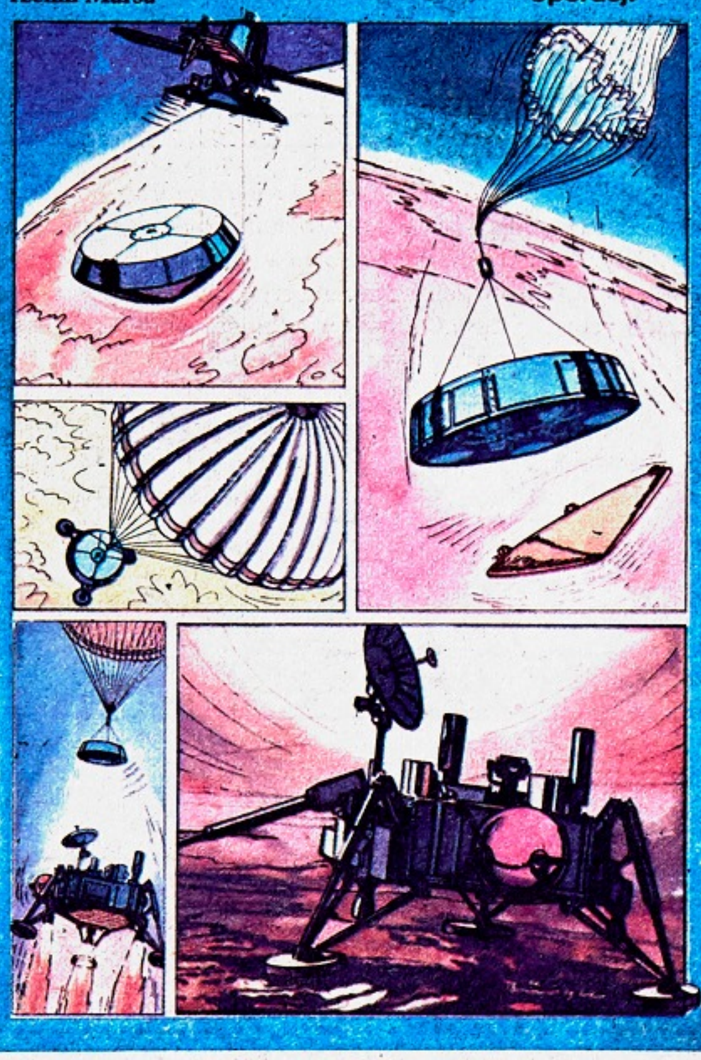

Niemal każde odkrycie naukowe czy wynalazek mogą mieć dwojakie zastosowanie – służyć człowiekowi lub wprost przeciwnie, mogą być użyte przeciw niemu. Tak przecież było z dynamitem, prochem, radarem, energią atomową, tak jest również z laserem.

To ostatnie odkrycie prawie od samego początku ma jakby podwójne oblicze – może służyć do precyzyjnego cięcia metalu, borowania otworów, a nawet w medycynie do operacji chirurgicznych.

Jednocześnie ten sam laser może być użyty jako narzędzie niszczące. O tym właśnie zamiarze Pentagonu pisze dziś Grzegorz Panek. W sytuacjach takich zadajemy sobie pytanie – czy człowiek zawsze będzie postępował tak nierozumnie? Czy zawsze będzie trwonił zdobycze nauki, a co za tym idzie i ogromne środki materialne na cele wojenne? Niestety, na podstawie dotychczasowych doświadczeń historycznych, odpowiedź może być tylko jedna – tak. Sprzeczność ta zniknie dopiero wówczas, gdy znikną podziały na ziemi, gdy wszystkie narody będą stanowiły jedną ziemską rodzinę. Ale kiedy to nastąpi?

PREZES

O życiu pozaziemskim

Pragnąłbym zasygnalizować czytelnikom „Tomika" pojawienie się na rynku wydawniczym książki popularnonaukowej pt. „Na tropach życia pozaziemskiego", Zdzisława Ilczuka. Pozycja ta poświęcona została kilku ważkim problemom, które jeszcze dotychczas nie znalazły rozwiązania. Obejmuje ona między innymi takie tematy jak: Istota życia i jego pochodzenie; zagadki egzobiologii, ewolucja chemiczna we wszechświecie oraz – życie we wszechświecie – mity i rzeczywistość.

Osobny rozdział tej książki omawia szeroko sprawę ewntualnego życia na Marsie, a ściślej mówiąc, historii poznawania PRAWDY NAUKOWEJ o Czerwonej Planecie. Jak wiadomo temat życia na czwartej planecie Układu Słonecznego od dawien dawna stanowił zagadkę.

W 1872 r. niejaki SCHIAPARELLI podał do prasy sensacyjną wiadomość o odkryciu życia na Marsie, o czym miały świadczyć tzw. kanały służące do odprowadzenia wody z czap biegunowych w okresie wiosny. Cała ludzkość radowała się z odkrycia kosmicznych braci, gdy okazało się, że była to... całkowita mistyfikacja! I tak znów powróciliśmy w sferę przypuszczeń i domysłów, gdy nastąpił wreszcie okres wysłania na powierzchnię „boga wojny" sond z serii „Viking" (Viking-1 i 2*).

Właśnie misja „Viking" jest głównym tematem rozdziału, o którym wspomniałem wcześniej, a który nosi tytuł: „Życie na Marsie – mity i rzeczywistość".

Wspomnieć chciałbym jeszcze, że w książce „Na tropach życia pozaziemskiego" zostały zamieszczone rysunki poświęcone m.in. „Vikingom", są to: „wygląd zewnętrzny lądownika z serii „Viking", mapa Marsa z zaznaczoną lokalizacją miejsc łagodnego osadzenia lądowników misji „Viking", kolejne fazy łagodnego osadzenia na powierzchni Marsa lądowników „Viking", blok urządzeń lądownika „Viking" przeznaczony do realizacji badań biologicznych Marsa oraz ostatni – schemat doświadczeń biologicznych przeprowadzonych na powierzchni Marsa przez oba lądowniki serii „Viking".

Sądzę, że udało mi się zachęcić większość czytelników „Tomika" do kupna tej, na pewno bardzo interesującej i cennej pozycji wydawniczej. Moją notatkę chciałbym zakończyć słowami A.J. Oparina, które zostały zawarte w omawianej książce: „Życie jest sprawą najpiękniejszą i w ostatecznej konsekwencji najważniejszą ze wszystkiego, co istnieje na naszej planecie".

ZDZISŁAW ILCZUK „NA TROPACH ŻYCIA POZAZIEMSKIEGO". SERIA RAPORTY Z GRANIC POZNANIA": str. 200. Wydawnictwo „Iskry". Cena 36 zł, 33 zdjęcia czarno-białe, 7 rysunków.

Darek Węgrzyn
czł. PTMA

***) W USA trwają prace nad konstrukcją nowej wersji automatycznej stacji międzyplanetarnej „Viking-3", przeznaczonej do kontynuowania badań Marsa. Odnóża nowego modelu „Vikinga" zostały wyposażone w gąsienicowe urządzenia napędu, które umożliwiają przemieszczenie się stacji w terenie.**

ZMILITARYZOWANY KOSMOS

Po przeczytaniu artykułu Jarosława Patrzałka „Zagrożenie z kosmosu" i ja chciałbym dorzucić kilka ciekawych informacji z planu militaryzacji kosmosu. Według najświeższych informacji podanych przez prasę amerykańską ministerstwo obrony USA – zdopingowane niejako lotem statku „Columbia" – dąży do przyspieszenia rozwoju stacji kosmicznych z bronią laserową i rentgenowską na pokładzie. Fachowe czasopisma „Aviation Week and Space Technology", pisze, że w stadium końcowym znajduje się przygotowanie w tej sprawie specjalne studium dla Kongresu. Autorzy studium postulują przydzielenie ministerstwu obrony dodatkowych 200 mln dol. na badania i rozwój kosmicznej broni laserowej jeszcze w 1981 roku. Badania powinny być zintensyfikowane tak, aby w końcu lat 80-tych można było umieścić w przestrzeni kosmicznej pierwszą stację laserową. Według ocen amerykańskich ekspertów militarnych, przewaga mocarstwa, które jako pierwsze rozmieści broń laserową w kosmosie byłaby niewyobrażalna. Rakiety atomowe przeciwnika mogłyby być niszczone już o tysiące kilometrów przed osiągnięciem celu. „Niebiescy szpiedzy" – tak nazywa się czasem laserową broń w kosmosie – mogliby niszczyć, bądź też wyłączyć z obiegu satelitarne stacje wczesnego ostrzegania, a także systemy radarowe. Rozlokowanie około stu stacji laserowych w kosmosie operujących odpowiednim potencjałem elektronicznym, mogłyby całkowicie zahamować rzekomy rozwój radzieckiej strategii „pierwszego ciosu". Gdyby jednak mimo to doszło do „niespodziewanego uderzenia" ogromny laserowy potencjał mógłby bardzo ograniczyć ewentualne szkody na terenie USA. Stacje laserowe służące do obrony przed atakiem rakietowym – dowodzą ci sami eksperci – mogą także stanowić doskonałą obronę przed samolotami latającymi na dużych wysokościach oraz przed bronią balistyczną wystrzeliwaną z okrętów podwodnych. Ponadto lasery kosmiczne mogą służyć do wyłączenia obrony radarowej przeciwnika i są w stanie w ciągu ułamka sekundy zniszczyć wszystkie satelity znajdujące się na niższych orbitach.

Trzeba stwierdzić, że pomysł z militarnym opanowaniem kosmosu nie jest świeżej daty. Już bowiem zejście Neila Armstronga z lądownika „Eagle" na księżycowe Morze Spokoju skłoniło specjalistyczne pismo amerykańskie „Air Force" do stwierdzenia, że „opanowanie" Księżyca oprócz znaczenia czysto naukowego, będzie odgrywało ważną rolę w dziedzinie wojskowej. Potężne teleskopy umieszczone na Księżycu mogą być wykorzystane w celach rozpoznawczych, a w razie wojny Księżyc stanie się bazą, wykorzystaną do odpalania pocisków rakietowych z głowicami nuklearnymi. Jeszcze wcześniej, bo w końcu lat pięćdziesiątych, jeden z amerykańskich dowódców, gen. H. Bushey, twierdził, że „jeśli Stany Zjednoczone będą miały bazy na Księżycu, to każdy nieprzyjaciel, ZSRR lub inne mocarstwo – będzie musiał wykonać ze swych baz na Ziemi przygniatające natarcie nuklearne na Księżyc dwa i pół dnia wcześniej przed zaatakowaniem kontynentu amerykańskiego. W przeciwnym wypadku narazi się na pewne i druzgocące zniszczenie bronią nuklearną po upływie 40 godzin od chwili uderzenia na USA".

Większość wystrzelonych w ostatnich latach satelitów amerykańskich spełnia jednoznacznie zadania wojskowe. Mało kto wie, że prawie 57 proc. amerykańskich lotów kosmicznych zostało przeprowadzonych na zlecenie i za pieniądze ministerstwa obrony USA. Ostatnio wzmogły się naciski określonych kół Pentagonu zainteresowanych szerokim militarnym wykorzystaniem techniki kosmicznej. Chodzi o wprowadzenie na orbitę dalszych satelitarnych systemów ofensywnych i defensywnych w celu zajęcia dogodnych pozycji strategicznych w kosmosie.

Amerykanie na początku wprowadzą laser o mocy 5 MW. W końcu lat osiemdziesiątych przewidują natomiast budowę pierwszej stacji bojowej wyposażonej w laser o mocy 15 MW, a w początku lat dziewięćdziesiątych – wyposażonych w nową generację broni laserowej – o mocy 25 MW.

Jedno nie ulega wątpliwości, to mianowicie, że ratyfikacja w 1967 roku układu zakazującego umieszczenia broni nuklearnej w przestrzeni międzyplanetarnej nie zapobiegła złowieszczym pragnieniom i praktycznym krokom na rzecz militaryzacji kosmosu. Toteż uzasadnione staje się zaniepokojenie opinii międzynarodowej brakiem postępu w rokowaniach na temat demilitaryzacji kosmosu, a zwłaszcza na temat tzw. broni antysatelitarnych, prowadzonych przez wiele lat przez USA i ZSRR w Genewie. Bo mówiąc dziś o ograniczeniu wyścigu zbrojeń trudno nadal pomijać przestrzeń kosmiczną.

Grzegorz Panek
czł. PTMA i KMA Hadar

i pobiegł do kubryku. Koja Fatty'ego była pusta. Nie znalazł go w ambulatorium ani w kabinie szypra.

– Śpi drań, ale gdzie?

Jeszcze raz ruszył do kubryku. Uważnie przyglądał się śpiącym.

– Jest!

W cudzej koi, przykryty wraz z głową, chrapał Fatty. Zdradziła go pulchna ręka wystająca spod okrycia.

„To dopiero świnia! – pomyślał Guffy. – No, ja mu pokażę!"

Przyniósł brezentowe wiadro lodowatej wody. Szarpnięciem ściągnął z Fatty'ego koce i chlusnął z rozmachem.

– Aaauuu! – wrzasnął Fatty.

– Zamknij dziób! Ludzie śpią. Jak którego zbudzisz, to cię spierze. Zaraz przenieś tu swoje suche posłanie, bo jak właściciel koi wróci, to zrobi z ciebie kotlet.

– Ojojoj! Dosstaannęęę zaapppaallenia ppłuc! – szczęknął zębami przemoczony Fatty.

– Wyłaź, bo dostaniesz drugą porcję wody!

– Co się tu dzieje, do stu beczek śmierdzących jajek? – krzyknął rozespany głos.

Fatty, dygocząc, wyskoczył z koi. Bielizna olbepiła jego pulchne kształty i parzyła go lodowatym całunem.

– Parszywy leń. Drugi Arnold! – głośnym szeptem dogadywał Guffy.

– Tylko nie Arnold, tylko nie Arnold! – zaperzył się Fatty. – Obrażony do głębi, prawym sierpowym walnął w szczękę Guffy'ego.

– Ojej! – krzyknął przerażony efektem swego ciosu.

Guffy poleciał na stół, strącił kubki i naczynia i padł na deski. Trzask, rumor, huk. Siła ciosu o mało nie pozbawiła go przytomności. Oszołomiony zerwał się i rzucił na struchlałego grubasa. Fatty ze strachu dobywał wszystkich sił. Przewrócili się na podłogę, tarzając się po niej. Stuk ławy, szurgot butów, brzęk misek i kubków obudził śpiących. Powyskakiwali z koi i za chwilę wokół walczących stała grupa rozespanych ludzi w kalesonach.

– Ach, wy pętaki! Nie macie gdzie hałasować?

– Bitki wam się zachciewa?!

– Zaraz nauczymy was moresu! Fred, dawaj pas!

Krzepkie ręce rzuciły ich na stół i przytrzymały.

– Ile?

– Dziesięć.

– Mało! Piętnaście! Nie szanują cudzego snu. Chlaśnięciu pasa odpowiedział ryk Fatty'ego.

– Raz! Dwa! Trzy! Cztery!

– Ojej, ojojoj! Auuu! Już nigdy! Ludzie! Ojojoj!

– Trzynaście, czternaście, piętnaście. Dość.

– A teraz ani mru-mru i precz z kubryku, kuchty przebrzydłe!

★ ★ ★

Brodaty Jim nie spał. Zarost wydłużył mu bladą i chudą twarz. Oczy błyszczały gorączką.

Całą noc gryzł z bólu koc. Pomimo wyczerpania nie mógł usnąć. Całe lewe ramię rwało piekielnymi paroksyzmami bólu.

Gdy rankiem usłyszał strzały, zrezygnowany zamknął oczy.

„Koniec, dla mnie już koniec. Czym jestem bez ręki? – myślał. – Chyba pójdę do przytułku albo pod kościół. Oj, los, los!"

Nie miał do nikogo pretensji. Wiedział od lekarza, że łowca, który go postrzelił, ze łzami w oczach błagał, by mu pozwolono zobaczyć się z nim. Teraz poszedł na lód jako skinner. Przysiągł, że broni więcej w życiu do rąk nie weźmie.

„Pechowy dzień. Martin utonął, a ja... Kaleka do końca życia. Kto mnie zamustruje? Co komu po strzelcu bez ręki?"

Te rozpaczliwe myśli bolały stokroć gorzej niż świeża rana. Jakże straszne jest uczucie bezużyteczności.

Przyszedł lekarz i wstrzyknął mu morfinę. Jim zapadł w niespokojny, pełen majaków sen.

★ ★ ★

– Żywo, chłopcy, żywo! – ponaglał Kingsby. – Prać, ile wlezie!

Zachęta była zbędna. Każdy troszczył się o grosz, trudno o niego na wyspie, bardzo trudno.

– Stara już pewno ostatni worek mąki wytrzepuje na kluchy dla małych – mówi Hamilton do swego podręcznego.

– U mnie też bieda, aż piszczy. Dzieciaki bez butów. Dług u sklepikarza. Jak szliśmy w lody, mówił, że skredytuje, ale kto go tam wie?

– Jak myślisz, ile nam wypłacą?

– Nie wiem. Oby tylko starczyło do chwili, gdy zamustruję na rybołapa.

– Masz już koję na Wielkie Ławice?

– Chyba szyper „Jaskółki" weźmie mnie znowu. Już piąty rok z nim chodzę. A ty masz coś?

Cdn.

8

BOB ŻELAZNY KARABINÓW

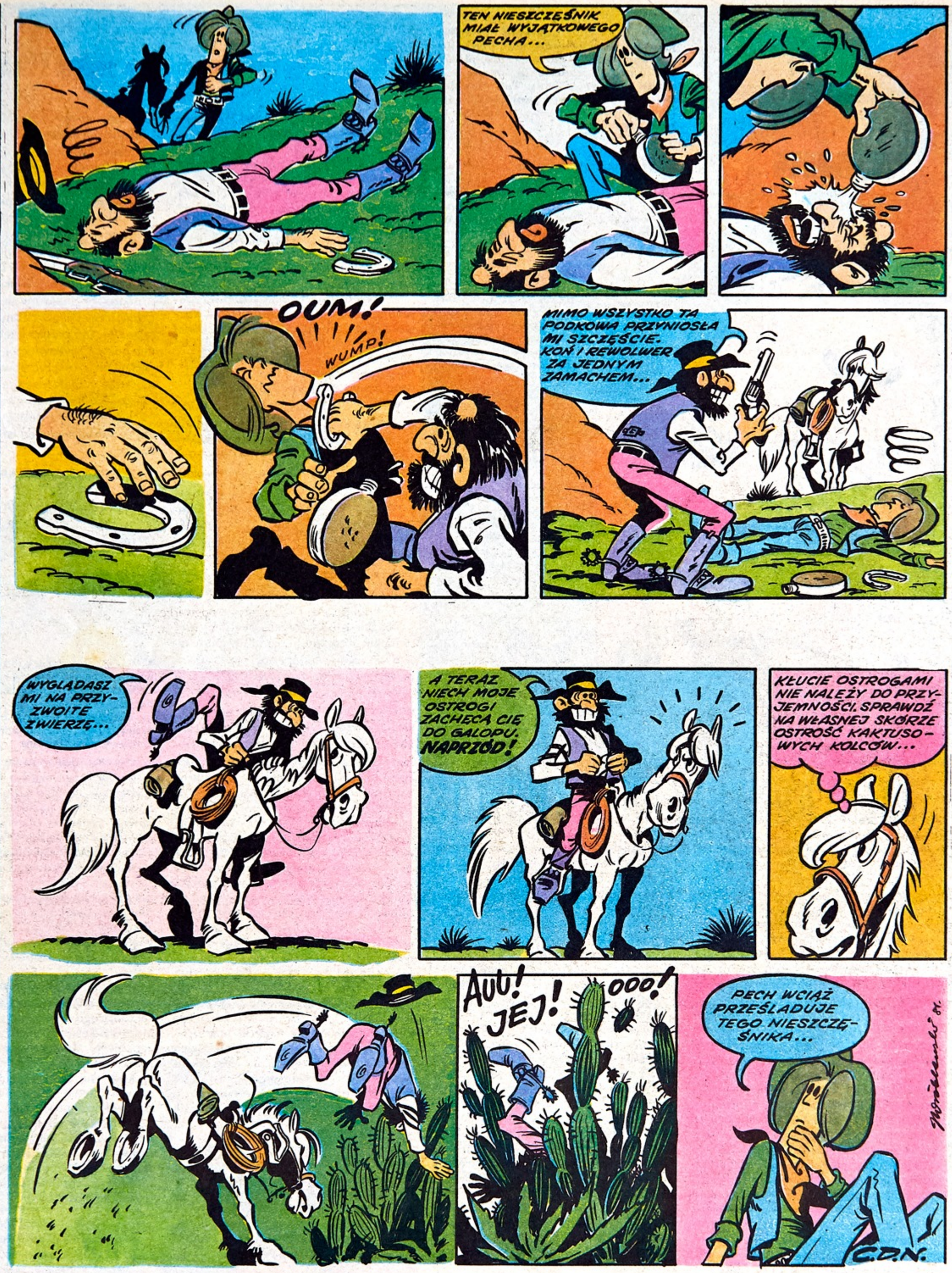

TEKST I RYSUNKI: JERZY WRÓBLEWSKI

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556)
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, Teresa Maciszewska, Krzysztof Masłoń, Krzysztof Potrzebnicki, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk, Barbara Skórska, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA – RSW „Prasa–Książka–Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A, Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty w kraju i za granicę udzielają Oddziały RSW „Prasa–Książka–Ruch" oraz urzędy pocztowe na wsi.
Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 4553/G **L-112**

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

„Tam musi ktoś być, jeśli powiedział, że nie ma nikogo!"

– Tę odkrywczą myśl sformułował pierwszy „dzielny Miś, Kubuś Puchatek, nasz P. P. (Przyjaciel Prosiaczka), sympatyczny T. K. (Towarzysz Królika), poczciwy P. K. i Z. O. (Pocieszyciel Kłapouchego i Znalazca Ogona)" – czyli bohater znanych w całym świecie książeczek A. A. Milne'a, które spolszczyła Irena Tuwim. To dzięki niej właśnie wiemy, „co tygrysy lubią najbardziej"!

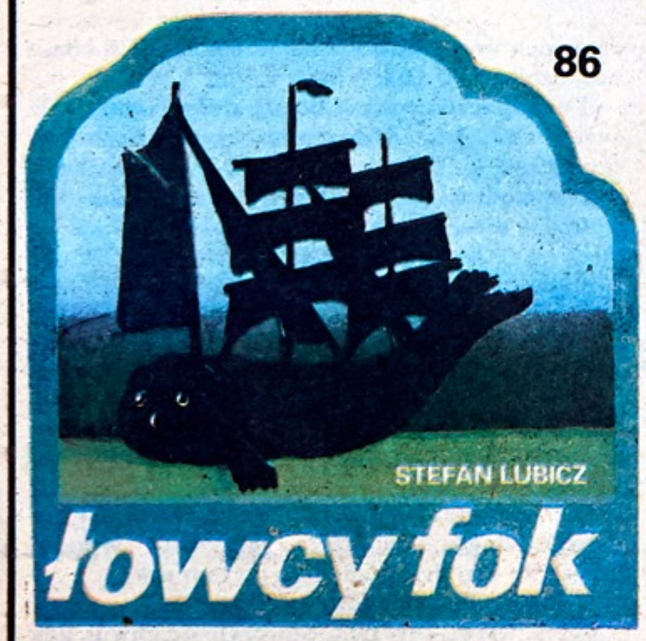

86

Lekarz nie był chirurgiem. W kabinie zalanej żarem tysiącwatówki panował zaduch. Twarz lekarza lśniła potem.

„Boże, żeby choć trochę więcej praktyki!" – myślał czując, że ręce drętwieją mu ze zmęczenia. Niepokoił go szybki, spazmatyczny oddech brodatego pacjenta, który obudził się pod nożem i omdlał z bólu.

„Może i lepiej – myśli lekarz rozpoczynając szycie. – Mniej cierpi. Serce, czy serce wytrzyma? Może dać mu jeszcze jeden wzmacniający zastrzyk?"

„Asystent" – łowca ledwie dukający abc służby sanitarnej, trząsł się i co chwila tracił głowę. Szeroko rozwartymi oczyma, pełnymi lęku i odrazy, patrzył na okrwawione, lśniące gumą rękawice. Dwaj inni pomocnicy raczej sami potrzebowali pomocy. Stali bladzi i bardzo niezdecydowani. Obydwaj co chwila zwalczali ogarniające ich torsje.

– Po pępek brodzicie w foczej krwi, ściągacie skóry dziesiątkom zwierząt dziennie, a tu na widok krwi dostajecie mdłości jak pensjonarki – dziwił się lekarz.

Minęło jeszcze pół godziny, nim doktor mógł z głośnym westchnieniem ściągnąć oślizłe od krwi rękawice. Nakrył nieprzytomnego prześcieradłem i zbadał mu puls.

– No, co się gapicie! Żyje i będzie żył. Sprzątnijcie ten bałagan, ale szybko!

Z ulgą rzucili się do roboty.

Lekarz zapalił papierosa. Po raz pierwszy dokonał skomplikowanej amputacji sam, w prymitywnych warunkach.

Rozpierała go wielka radość.

★ ★ ★

Po kilkugodzinnym odpoczynku część łowców podjęła pracę przy zbieraniu skór. Wszyscy strzelcy spali. Przemęczenie odbiłoby się na ich strzeleckiej sprawności, a czekał ich jeszcze ostatni dzień łowów.

Podręczni i skinnerzy sortowali skóry, pakowali je do ładowni i przekładali lodem. Była to ciężka, żmudna praca. Windy wciągały na pokład naręcza skór i kosze lodu.

Jean, Limr i Jack pracowali przy ładowniach. Ożuli się w swoim żywiole. Wspominali ładunki trawlerów rybackich. Obecne zajęcie było mimo wszystko nieco lepsze, lżejsze i nie wymagało takiego tempa.

Fatty wraz z Guffy'm dyżurowali w kambuzie. Na rozgrzanej płycie trzymali kotły z herbatą i kawą. Na olbrzymiej tacy ułożyli stosy kromek chleba z mięsem. Co chwila któryś z łowców wpadał ogrzać się i coś przegryźć.

– Strasznie chce mi się spać, Guffy. Ty posiedź, a ja się zdrzemnę. Później popilnuję za ciebie – ziewnął Fatty.

– Nic z tego. Jak dyżur to dyżur.

– Guffy, ja już nie wytrzymam. Słowo daję, przewrócę się i zasnę.

– Nie przewrócisz się. Pewnie ci tu za gorąco. Wyjdź na powietrze, otrzeźwiejesz.

– Ale mnie i tu zimno. Naprawdę, jutro będę do niczego, zobaczysz.

– Jutro, bracie, będziesz skakał po lodzie jak antylopa – bezlitośnie oświadczył Guffy.

– Kawy dla lekarza! – do kambuza wpadł Hamilton. – Mówi, żeby była czarna jak smoła.

– Co z Jimem? – zapytał Guffy.

– Nieźle, ale trochę słaby. Doktor mówi, że za tydzień będzie tańcował.

– No, Fatty, ruszaj się! – napomniał go Guffy. – Bierz dzban i hulaj do doktorka.

Fatty wzdrygając się wyszedł na pokład.

Guffy nie mógł jakoś doczekać się jego powrotu. Gdy minęło pół godziny, powziął podejrzenie, że Fatty zawieruszył się celowo. Zamknął kambuz

Dokończenie na str. 7